Cena zł 20

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V | Warszawa, 6 marzec 1949 r. | Nr 9 (171)

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego
CIV 9013

TREŚĆ NUMERU: W świecie; Ks. M. Lubicz — Duch permanentnej reformy; A. Gella — Zakopane prześwietlone; A. Hutnikiewicz — Legenda mickiewiczowska; K. O. K. — Przegląd katolickiej prasy angielskiej; Tydzień kulturalny; Rok chopinowski 1949; zytelnik uważa, że...

Wojciech Kętrzyński

Problemy naszych czasów

Czy wolno nam wierzyć w postęp?

Ciągle się jeszcze napotykamy na poważne trudności w określeniu właściwej postawy katolików w stosunku do pasjonujących ludzkość problemów społecznych. Zasadnicze, elementarne obowiązki chrześcijanina w stosunku do społeczności, w której żyje zostały sprecyzowane w Ewangelii. Są one stałe, niezmienne i obowiązywać będą do końca świata. Ludzkość jednak się zmienia, zmieniają się warunki współżycia, narastają co raz to nowe i bardziej skomplikowane aktualne problemy. Zadawalanie się więc dziś generalnymi przykazania mi miłości bliźniego i czynnego miłosierdzia, jako zasadami społecznymi, odpowiadanie na problematykę aktualną przypowieścią o Samarytaninie, czy kazaniem na Górze, jest niewątpliwie przypominaniem nieprzemijającej prawdy, nie jest jednak wystarczającą odpowiedzią na stawiane nam dziś przez życie pytania. Nie wolno się zadawalać ogólnym stwierdzeniem, że się jest chrześcijaninem, katolikiem. Trzeba codzień zdawać egzamin z życiowej przydatności naszej postawy. Sam Chrystus bowiem nie zadawalał się sformułowaniem zasad Nowego Testamentu. Wykładał jego treść najrealniej, najpraktyczniej, na codzień.

Dla czego stawiamy dziś problem postępu i szukamy nań w katolicyźmie odpowiedzi? Bo problem postępowości, jako normy postawy społecznej istnieje w naszej dzisiejszej rzeczywistości. Bo nie może dziś być człowieka, posiadającego świadomość społeczną, przed którym by nie stanęło to zagadnienie:

czy wolno nam wierzyć w postęp? Czy wolno nam, katolikom kierować się w działalności społecznej, poza wiecznymi zasadami chrześcijaństwa, ideą postępowości społecznej?

Z jednej strony narzuca się nam pojęcie postępu jako powszechnie uznane, otoczone już dziś swoistą legendą, kryterium pozytywnej, twórczej, pełnowartościowej aktywności społecznej — z drugiej zaś ciąży na nim cały balast płytkich, naiwnych i z gruntu nie chrześcijańskich prób wybudowania w XIX wieku ołtarza Człowiekowi Wszechpotężnemu, Rozumnemu i Szczęśliwemu. Czy powiedzenie „postępowy katolik" jest więc pochwałą, naganą, lub wreszcie nonsensem?

OD TOMASZA MORUSA DO ALDOUSA HUXLEYA.

Z postępem społecznym działo się tak, jak z większością współczesnych pojęć społecznych, jak z „demokracją", jak z „socjalizmem". Powstały one w umysłach genialnych myślicieli na przełomie epoki nowożytnej. Z utopii do rzeczywistości intelektualnej sprowadzała je wiedza XVIII wieku, zasługującego na nazwę „encyklopedii współczesności". Lecz treść społeczną tym pojęciom nadawał dopiero wiek XIX. Tenże wiek był też niewątpliwie okresem wielkiego wewnętrznego kryzysu chrześcijańskiej myśli społecznej, rozbratu między doktryną i rzeczywistością. Pojęcia społeczne, ukute w swej konkretnej formie w ciągu wieku XIX noszą przeto na sobie piętno myśli niechrześcijańskiej, noszą w sobie spaczenia racjonalizmu, pozytywizmu, materializmu. Stąd też zasadnicza trudność przyswojenia ich dziś i posługiwania się nimi w chrześcijańskiej nomenklaturze społecznej. Nie mniej nonsensem byłoby dziś próbować słowotwórczych zdolności dla wykuwania innych, sztucznych pojęć na miejsce tych, które w codziennym życiu zdobyły już sobie prawo obywatelstwa. Tymi bowiem, a nie innymi pojęciami posługiwały się poprzednie pokolenia. W tych bowiem pojęciach kryje się **prawda społeczna** dzisiejszej epoki, jakkolwiek skażona błędami przestarzałej filozofii.

Postęp społeczny, pojęty jako pozytywna norma działalności, jako idea, która mobilizuje i wprowadza do walki o przyszłość ludzkości najlepsze siły społeczeństw, tkwił w umysłach XIX wieku na wyjątkowo podatny grunt. Podbudował mu racjonalizm, gruntujący wiarę we wszechpotęgę umysłu ludzkiego i we wrodzoną, niczym nie skażą wewnętrzną doskonałość człowieka. Potężny rozwój wiedzy historycznej w ciągu XIX wieku pomnożył wielokrotnie ciasne dotąd horyzonty humanizmu. Ewolucjonistyczne rewolucje w biologii odsłoniły oczom zdumionych badaczy tajemnice rozwoju w przyrodzie. Przewroty w Stanach Zjednoczonych i we Francji zadały druzgocący cios ostatnim resztkom feudalizmu i rozpoczęły niekończący się proces przemian społecznych. Wreszcie niebywałe osiągnięcia wiedzy w dziedzinie fizyki i chemii dały temu okresowi miano wieku pary, elektryczności, mechanizacji i nowoczesnej medycyny. To wszystko stwarzało pozory stałych fundamentów dla najwyższego społecznego optymizmu. Zabrakło natomiast w tym koncercie entuzjazmu i dumy ze zdolności człowieczych dość donioślego głosu, który by w tę symfonię ludzkiej pychy wplótł nutę pokory: „Memento homo, quia pulvis es, et in pulverem reverteris"

Dzieckiem tej epoki, obciążonym jej blaskami i nędzami jest niewątpliwie klasyczna idea społecznego postępu.

WIZJA „RAJU NA ZIEMI" I JEGO DZIEWIĘTNASTOWIECZNI IDEOLOGOWIE

Naukowa definicja pojęcia postępu obejmuje sobą następujące elementy:

— zmianę istniejącego stanu społecznego,

— kierunkowość i intencjonalność tych zmian,

— dążenie do osiągnięcia stanu rzeczy lepszego, a więc i wartościowanie istniejącego.

Postęp więc, wyrażając się językiem prostszym, zachodzi wówczas gdy następuje rozwój stosunków społecznych w kierunku celowo obranym, i uznanym za zbliżający się do rzeczywistości doskonalszej od poprzedniej.

Tak pojęta idea społecznego postępu sprzeciwia się więc i poglądom o niezmienności rzeczywistości, i idei o degeneracji świata jaką reprezentują poglądy Spenglera czy Kayserlinga, idei stałych cyklicznych nawrotów, czy koncepcji chaotycznego czy przypadkowego rozwoju.

Ideologowie postępu w XIX wieku w swej interpretacji tego pojęcia popełnili zasadnicze błędy. Skutki tych błędów zachwiały w pewnej chwili wiarą człowieka w przyszłość ludzkości w ogóle, zohydziły człowieka w jego własnych oczach, pchnęły ku irracjonalizmowi i nihilizmowi tak społecznemu, jak i moralnemu. Z tymi konsekwencjami walczy dziś współczesny nam świat.

Odrzucając oczywiście zasady chrześcijańskiej filozofii, eliminując pojęcie Boga, celów poza — doczesnych, grzechu pierworodnego, przyjmując zaś za punkt wyjścia tezę o pełnej wewnętrznej doskonałości i wszechpotędze człowieka — popełniono wówczas dwa kardynalne błędy: utożsamiono pojęcie społecznego postępu z socjologicznym rozwojem, oraz utożsamiono wewnętrzne doskonalenie się człowieka z jego intelektualną kulturą.

Tak więc Herbert Spencer, przekładając na język socjologiczny nowoodkryte prawa determinizmu przyrodniczego głosił ciągłą, żywiołową i określoną przemianę „organizmu" społecznego, powodowaną nie przez jakąś świadomą interwencję, ale płynącą z samej natury tego „organizmu". Ta teoria ewolucyjna jest dla Spencera równoznaczna z ideą postępowości. Podobnież i Comte, choć podchodząc do zagadnień socjologicznych raczej z punktu widzenia idealistycznego, opiera procesy społeczne na założeniach **„koniecznego i ciągłego ruchu ludzkości"**, a postęp w nim widzi jako **„pochód społeczny ku oznaczonemu, acz nieosiągalne mu kresowi, odbywający się w szeregu etapów koniecznych i określonych"**.

Niezależnie od tego z jakich założeń filozoficznych wychodzili— prawie wszyscy wielcy myśliciele tego okresu opierają swe koncepcje społecznego postępu na deterministycznej, mechanistycznej idei rozwoju, na wierze, że z samej natury rzeczy ludzkość musi kroczyć etapami wewnętrznego doskonalenia się. Zadaniem człowieka jest tego procesu nie utrudniać zdaniem jednych, a wyprzedzać, torować zdaniem innych.

Z całej plejady uczonych społeczników XIX wieku może najmocniej zaakcentował różnicę między rozwojem a postępem — Stuart Mill. **„Jest niewątpliwie moim przekonaniem,** — zastrzega się, — **że tendencją ogólną (rozwoju ludzkości) , poza przypadkowymi i przemijającymi wypadkami, jest tendencja ku doskonaleniu się, ku życiu lepszemu i szczęśliwszemu. Nie ma w tym jednak nic wspólnego z metodą socjologiczną".**

Dokonawszy tego świadomego rozróżnienia i przezwyciężywszy przyrodniczy determinizm swą postawą humanistyczną jest jednak Stuart Mill klasycznym przykładem drugiego błędu popełnianego przez materialistycznych wyznawców idei postępu. Jest nim nadmierny optymizm w ocenianiu społecznych konsekwencyj intelektualnego rozwoju ludzkości. **„Wszelkie nadzieje są dozwolone, gdyż człowiek staje się coraz to potężniejszy, a to znaczy szczęśliwszy, w miarę tego jak więcej pojmuje"** — oto millowska deklaracja wiary w niczym nie zmąconą postępowość świata. Tę samą myśl reprezentował w Polsce warszawski pozytywista Dygasiński, głosząc w roku 1888: „Im społeczeństwo jest dojrzalsze tym logiczniejsze być musi, tym bardziej prawidłowość jego zbliżać się musi do prawidłowości machiny, w bieg puszczonej i stale udoskonalanej".

Całokształt poglądów na sprawę postępu, wywodzących się z dziewiętnastowiecznej ateistycznej filozofii cechuje w gruncie rzeczy niczym nie ograniczony optymizm. Wynika on z wrażenia jakie na umysłach badaczy wywarła teza darwinizmu, że człowiek ze stanu najprymitywniejszej zwierzęcości doszedł o własnych siłach do tego stopnia cywilizacji i kultury, który pozwala mu nie tylko panować nad światem, ale i odkrywać jego najgłębsze tajemnice. Stąd więc już tylko jeden krok do najoptymistyczniejszej wiary, w zbliżające się tysiąclecie niczym nie zmąconej szczęśliwości. Niedoskonałe formy społeczne, ekonomiczne, czy kulturalne, hamujące postęp, ulegną naprawie i doprowadzą ludzkość do tego stopnia doskonałości, w którym wyzwolona wewnętrzna wartość człowieka stanie się jedyną potrzebną i obowiązującą normą.

Tę wizję zbliżającego się „raju na ziemi" znajdujemy u wszystkich ideologów postępu ateistycznego. Różnice zachodzić mogą najwyżej w interpretacji metod jego realizacji.

POSTĘP A CHRZEŚCIJAŃSTWO.

Jest rzeczą oczywistą, że taką wizję „doskonałego świata", składającego się z „doskonałych" ludzi, musi odrzucić każdy świadomy chrześcijanin. Dlatego właśnie idea postępu tak słaby znajduje oddźwięk u społecznych ideologów katolickich.

Dziś jednak stajemy nie raz przed pytaniem — czy w gruncie rzeczy jest miejsce dla istotnej idei postępu w katolickim poglądzie na świat. Czy nie należy raczej stanąć na stanowisku, że świat doczesny, obciążony grzechem pierworodnym nie jest w stanie wytwarzać form społecznych innych jak przejściowych i tak dalece niedoskonałych, że wiara w postęp społeczny może być tylko niebezpiecznym złudzeniem. Czy nie słuszniej jest przyjąć podział na Civitas Dei i Civitas Diaboli i kazać człowiekowi na ziemi walczyć z pokusami patrzeć tylko na cele pozadoczesne?

Pytanie może naiwne, trącące brakiem znajomości katolickiej teologii? Być może, nie mniej u podstaw zbyt małej aktywności społecznej katolików na przestrzeni ostatniego wieku leżą właśnie wątpliwości w doskonałość tych zagadnień w całokształcie światopoglądu.

Niewątpliwie zbawienie duszy jest pierwszym celem istnienia i pierwszym zadaniem człowieka. Nie mniej gatunki, w których człowiek żyje i atmosfera społeczna w której się rozwija nie jest bynajmniej obojętna dla jego zbawienia. Nie dość na tym. Chrześcijaństwo nie było nigdy religią indywidualistyczną. Przeciwnie, od samych swych początków nadało swej treści religijnej głębokie socjologiczne

W świecie

Depesza Księdza Zieji

W polityce międzynarodowej — po czasie wielkich gestów i aktów, w jakie obfitował schyłek ubiegłego i początek bieżącego roku — zaciągnął się okres ciszy. Nawet echo jeszcze jednej bitwy stoczonej o kontrolę energii atomowej na stosownej komisji ONZ, a zakończonej odrzuceniem projektu radzieckiego przez państwa kapitalistyczne, nie było zbyt rozgłośne. W ciszy kuluarów przygotowują Anglosasi swój „pakt atlantycki".

Warto jednak czasami oderwać wzrok — korzystając z chwili względnego spokoju — od głównych partnerów gry światowej, by zarejestrować wydarzenia, których związek z Wielkim Konfliktem jest wprawdzie łatwy do ustalenia, dzieją się one jednak na jego peryferiach. Myślę o Palestynie i państwie Izrael.

Biuletyn prasowy Poselstwa Izraela w Polsce doniósł niedawno, że ksiądz Zieja ze Słupska, znany kapelan AK i „Szarych Szeregów", niewątpliwie jeden z najczcigodniejszych postaci duchowieństwa polskiego, wysłał na adres poselstwa następującą depeszę:

„Narodowi i Państwu Izrael w dniu otwarcia pierwszego parlamentu niech Bóg błogosławi! Szalom al Izrael (Pokój Izraelowi)".

Odpowiedź posła Barzilaja brzmiała: „Wzruszony wyrazami szczerej sympatii dla nowopowstałego państwa Izrael dziękuję serdecznie za przesłaną depeszę. Depeszę czcigodnego kapłana przekazałem rządowi oraz Marszałkowi Zgromadzenia Ustawodawczego".

Depesza księdza Zieji chyba najdosadniej oddaje uczucie, jakie ożywia każdego uczciwego człowieka na wieść o tym, że na koniec jeszcze jedno ognisko wojny wydaje się powoli wygasać. A naród żydowski, tak srodze doświadczony w latach ostatniej wojny, ma wreszcie możność względnie swobodnego kultywowania swego życia narodowego na ziemi palestyńskiej, z którą łączy go mocna więź tradycyjna. Wojna tak buńczucznie rozpoczęta przez arabskich królów i królików, gdy w czerwcu ub. r. proklamowane zostało, zgodnie z decyzją ONZ, państwo Izrael — skończyła się właściwie wspaniałą wygraną Żydów. Każdorazowe rozejmy, zrywane i gwałcone przez Arabów, były przez Żydów lepiej wykorzystywane dla umocnienia i rozbudowy niewielkiej (stodwudziestopięciotysięcznej zaledwie) armii, niż przez ich przeciwników. Nie pomogli Arabom brytyjscy dowódcy i oficerowie; prymitywny żołnierz arabski, bez żadnego poczucia własnego interesu w toczącej się walce o Palestynę, w żadnym razie nie mógł sprostać inteligentnym, wysoce ideowym, kadrom żołnierzy żydowskich, przewodzonym przez oficerów wyszkolonym już to w brytyjskich już to amerykańskich oddziałach w czasie wojny ostatniej, lub mającym za sobą doświadczenia powstańczych walk w Polsce. Po pół roku bezskutecznej wojny, kiedy Arabi zyskali wprawdzie część pustyni Negew, ale stracili na rzecz Żydów wszystkie poważne ośrodki miejskie i tereny (Jaffa, cała Haifa, obszar zachodni Galilei, nowe miasto Jerozolimy) przyznane decyzją ONZ właśnie Arabom, poszczególni władcy arabscy poczęli dochodzić do wniosku, że awantura nie warta zachodu. Może nawet nie tyle król Egiptu czy Transjordanii doszedł do takiego wniosku, ile politycy brytyjscy zorientowali się, iż przeciwko Żydom na ziemi postawili konia, złe sobie wybrali narzędzie. Wobec tego należało zmienić front.

I zmiana frontu została dokonana. Na początku 1949 r. posypały się ze strony państw zachodnio-europejskich (dotychczas wstrzemięźliwych w tym względzie) uznania prawne i faktyczne dla „Erec Izrael". Z Arabami Izrael rozpoczął rokowania rozejmowe — oczywiście z każdym partnerem oddzielnie. Chwilowo najbliższe ukończenia wydają się pertraktacje z Egiptem, tym najzaciętszym pozornie przeciwnikiem.

Przed kilku miesiącami donosiliśmy, że — jak dla nas dość nieoczekiwanie — że rząd Izraela zniósł nakaz zaciemniania. Widać wiedział, iż działania wojenne nie będą już przeciw niemu wznowione. Obecnie, mimo iż wojna formalnie nie została zakończona, przeprowadzono w całym państwie wybory, które przyniosły wielkie zwycięstwo socjal-demokratom Ben Guriona, dotychczasowego premiera. Partii komunistycznej przypadła mała ilość mandatów. Ostatnio wyłoniona z wyborów Konstytuanta wybrała na zgromadzeniu w Jerozolimie — właśnie w Jerozolimie dla zaznaczenia żydowskiej suwerennej władzy rozciągającej się nad tym miastem — prezydentem państwa Izraela dotychczasowego tymczasowego prezydenta dr Cheima Weizmana. Głosowała nań centrowa większość przy opozycji — nawet dość gwałtownej — tak skrajnej prawicy jak komunistycznej lewicy. Weizman, tak samo zresztą jak Ben Gurion i minister spraw zagranicznych Szertok, należy do żydowskich mężów stanu silnie związanych z rządem i polityką USA.

Tymi powiązaniami amerykańskimi należy tłumaczyć fakt, iż Wielka Brytania, po szoku militarnym jaki spotkał interwencję arabską, już nie ponowiła próby zatrzymania przy sobie traconego terytorium nad Jordanem. *(beta)*

Popierajcie
Katolicki Uniwersytet Lubelski

znaczenie. Chrześcijaństwo bowiem wprowadziło trzy nowe pojęcia socjalne:

— pojęcie ludzkości jako moralnej całości oraz bliźniego, jako jej per-sofinikację,

— zasadę oddzielania władzy duchowej od władzy świeckiej, co za tym nie tylko unormowanie ich wzajemnych kompetencyj, lecz i potwierdzenie merytorycznej treści czynnika świeckiego — społecznego.

— pojęcie społecznego dynamizmu Kościoła: „Przyjdź Królestwo Twoje, jako w Niebie, tak i na ziemi" i postawienie Kościołowi zadania ogarnięcia całej ludzkości.

Jeśli dwa pierwsze elementy normują stosunek chrześcijanina do świata go otaczającego, to trzeci, już przez sam fakt postawienia przed naszymi oczyma wizji chrześcijaństwa, ogarniającego całą ludzkość, to jednocześnie stawia problem postępu w płaszczyźnie Kościoła. Oczywiście rozwój zasięgu działalności Kościoła uzależniony jest w pewnej mierze i charakterem stosunków społecznych rządzących ludzkością. Jeśli więc Królestwo Boże jest rzeczywistością do której dąży ludzkość a nie tylko człowiek wewnątrz samego siebie, jeśli rozwój Kościoła pociągać musi za sobą przemiany nie tylko w duszy ludzkiej, ale i w stosunkach między ludźmi, przeto idea społecznego postępu jest równoległa, acz nierównorzędna, do idei chrześcijańskiego postępu.

Katolik, podchodząc do problematyki społecznej musi uświadomić sobie i nadprzyrodzone cele ostateczne człowieka i potrzebę współdziałania Łaski z wolą człowieczą i wreszcie niedoskonałość natury ludzkiej. Te trzy elementy dają zarys, w którym mieści się chrześcijańskie pojęcie o człowieku. Te elementy stanowią granicę osiągnięć realnych postępu społecznego: Postęp społeczny może ulepszać warunki życia i rozwoju człowieka. Postęp społeczny, zrealizowany w swym apogeum, nie może dać człowiekowi pełnego szczęścia, bo jest ono na tej ziemi nie osiągalne. Katolicyzm słusznie ostrzega pod tym względem człowieka przed złudzeniami, po których przyjść mogą tylko rozczarowania.

„Im wyżej wznosi się jestestwo żywe, tym szersze widnokręgi zła przed nim się ciągle odsłaniają. Zło rośnie w stosunku wprost proporcjonalnym do godności stworzenia — najwięcej cierpi ten, którego słusznie czy niesłusznie — królem stworzenia widomego mianują, „primogenita creaturam" — człowiek... Cierpienie rośnie w stosunku proporcjonalnym do doskonałości człowieka. W miarę jak się człowiek zbliża do ideału, tym więcej w sobie niedociągnięć odnajduje" (Ks. Paweł Siwek T. J. „Problem zła" Przegląd Powszechny listopad 1948).

Odrzucając więc zbyt płytką i zbyt optymistyczną wizję nieograniczonej doskonałości człowieka, stawiając problem zła i cierpienia na miejscu tak jasno określonym przez katolicyzm, chrześcijanin ma nie mniej nie tylko prawo, ale i obowiązek aktywnego urzeczywistnienia idei społecznego postępu w jej istotnym znaczeniu. Wybitny angielski socjolog katolicki dr H. A. Romen wnikliwie i lapidarnie ten elementarny obowiązek formułuje:

„Filozofię katolicką cechuje pokora. Nie ulega ona współczesnym tendencjom do tytanizmu, przedstawiającym człowieka jako samodzielnego twórcę istniejącego wokół niego porządku i stawiającym go jako miarę wszechrzeczy. ...Nie mniej jednak ta świadomość własnej skończoności, świadomość własnej niedoskonałości, świadomość niespełnionej tęsknoty dojścia do doskonałości, to wszystko nie może prowadzić do społecznego i politycznego kwietyzmu. Przeciwnie, chrześcijanin musi stale pamiętać, że jest jego zadaniem od Boga zleconym, by pracować nieustannie nad powolnym doskonaleniem „Civitas Humana" gdyż w ten sposób usprawnia zewnętrzne warunki w których przychodzi mu pracować nad zbawieniem dusz. **Wie o tym, że każdy krok na drodze postępu w doskonaleniu „Civitas Humana" jest jej zbliżaniem do niedoścignionego wzoru jakim jest „Civitas Dei".**

POSTĘP — HEROICZNĄ CNOTĄ SPRAWIEDLWOŚCI SPOŁECZNEJ

Jest więc oczywistym, że charakterystyki chrześcijańskiego uspołecznienia nie wolno ograniczać do prawdy ogólnej, jaką jest teza o realizacji Królestwa Bożego. Postępowością jest właśnie stwarzanie sprzyjających warunków, by spełniały się słowa modlitwy Pańskiej „Przyjdź Królestwo Twoje jako w Niebie, tak i na ziemi". Te sprzyjające warunki to:

— rozwój działalności Kościoła — postęp chrześcijaństwa,

— pozytywny rozwój warunków życia ludzkiego — postęp społeczny.

Celem naszym przez cały ciąg niniejszego studium było precyzowanie tego ostatniego pojęcia, na razie w płaszczyźnie doktrynalnej. Z natury rzeczy ludzkiej ułomności, stosunki społeczne zawierają w sobie elementy zła, ludzkiej krzywdy, egoizmu. Wbrew czynionym sugestiom, katolikowi nie wolno się z tym godzić. Postępowym społecznie jest ten katolik, który widząc zło społeczne, walczy z nim i dąży konkretnie do osiągnięcia stanu rzeczy społecznie lepszego. Walka ze złem nie jest nigdy sama w sobie postawą twórczą, ani z punktu widzenia katolickiego dojrzałą. **„Pojęcie zła, pisze ks. Siwek, jest nierozdzielnie złączone z pojęciem przeciwstawności na jaką istota natrafia w urzeczywistnianiu swych dążeń".** Dla nas jest więc ważne tylko zadanie pozytywnie określone. Jest nim czynne urzeczywistnianie sprawiedliwości społecznej w konkretnie budowanych formach życia społecznego. W tym mieści się walka ze złem.

Postępowość wymaga od chrześcijanina, by w każdym okresie realizował ten ład społeczny, który ulepszając stosunki między ludźmi, zmniejsza rozmiary społecznego zła. Postępowość wymaga, by nie zadawalał się przemijającymi zewnętrznymi efektami, lecz by stale i to najkonkretniej pracował nad ulepszaniem stosunków społecznych. W tej postawie nie może być nic z utopii i nic z moralnej sielanki. Realizacja dobra społecznego nie polega ani na indywidualnej dobroczynności, ani na litościwej miękkości czynu społecznego. Postępowość wymaga ostrej świadomości celowości postulowanych przemian, wymaga przemyślenia skutecznych środków dla ich realizacji, z pełnym poczuciem odpowiedzialności za to, że z natury rzeczy nie ma osiągnięć społecznych idealnych, a więc nie budzących jakichś moralnych sprzeciwów.

Postępowość jest ciągłą walką pomiędzy koniecznością poszanowania kardynalnego przykazania miłości bliźniego, każdego bliźniego, a jednocześnie poszanowania nie mniej kardynalnego nakazu nie tylko wyznawania, lecz i realizowania sprawiedliwości społecznej. W tej walce nie ma miejsca ani na sentymentalizm ,ani na niezdecydowanie. Uświadamiając sobie w całej pełni ogrom zadań, które pociąga za sobą postępowość, nie wahamy się jej określić mianem postawy heroicznej, opartej o heroiczną cnotę sprawiedliwości społecznej. Zwłaszcza dziś, gdy świat gmatwa się w tysiącach sprzeczności, przebicie się przez nie i dążenie, mimo niedoskonałości środków do sprawiedliwszych form społecznych, wymaga tak wielkiego heroizmu społecznego. Przed tą postawą dziś zbyt łatwo ucieka się chowając się pod osłonę najróżnorodniejszych „skrupułów", które są w rzeczywistości tylko próbą pokrycia wewnętrznej słabości ludzi, którzy odkryli niespodziewanie, że świat jest najdalszy od ideału, i że żaden program polityczny czy społeczny nie daje gwarancji osiągnięcia tej upragnionej doskonałości.

O postępowości społecznej możemy więc mówić śmiało tymi słowami, którymi ks. Siwek charakteryzuje wszystkie cnoty, że: **„jest wynikiem powtarzanych wysiłków przez które człowiek odnosi zwycięstwo nad samym sobą, jest nie do pojęcia bez walki z sobą samym. A walka każda, to trud, praca, ofiara, to cierpienie. Cnoty więc stanowią owoc ofiary i cierpienia".** Pod tym względem zgadzamy się więc z tymi niechrześcijańskimi ideologami postępu, którzy uświadamiali sobie ogrom jego moralnej odpowiedzialności, i w imieniu którym wołał Dygasiński —

„Postęp — to najskrwawsza praca ludzkości!"

Znajdujemy w dzisiejszej społecznej postawie wielu katolików zbyt mało rzeczywistej pasji dla problemu postępu społecznego. Pod tym względem, mimo wszelkich zasadniczych błędów wynikających z ich światopoglądu, znajdujemy znacznie żywszy oddźwięk wśród wyznawców materialistycznych ideologii. Wydaje się, że czas jest dziś zwrócić uwagę na konieczność programowego postawienia zagadnienia postępowości, jako właściwego kryterium chrześcijańskiej postawy społecznej.

Bez jasno określonej normy pozytywnej, postawa społeczna pozostaje frazesem. Taką pozytywną normą aktywności społecznej był przez długi przeciąg czasu patriotyzm, miłość ojczyzny. Dla idei ojczyzny narodowej ludzie walczyli, ginęli, dla niej pracowali, dla niej byli gotowi do wielu, wydawałoby się najcięższych wyrzeczeń. Stosunek do narodu należy dziś, obok stosunku do rodziny, do elementarnych kryteriów chrześcijańskiej aktywności społecznej. Nie może jednak dziś być normą najwyższą. Sprawy jednego narodu, jakkolwiek ważne i zasadnicze, grają w dzisiejszym świecie zbyt małą rolę, by wolno nam było nic poza nimi nie widać. Z drugiej strony losy narodu, tak jak losy rodziny, przestały być zależne tylko od patriotyzmu jego członków. W grę weszły pojęcia większe, silniejsze, niewątpliwie ważniejsze. Są to właśnie zagadnienia społecznej przebudowy całej ludzkości, realizacji sprawiedliwości społecznej w stosunku do świata, który się dziś dzieli na zasadzie socjalnych a nie tylko narodowych przekonań.

Tak jak monopol na patriotyzm nigdy nie należał do obozów politycznych programowo niekatolickich, tak i dziś nie wolno nam godzić się z tym, by problem społecznej postępowości pozostawiać dobrowolnie poza zasięgiem katolickiej aktywności. Nie wydaje się zaś, by rozbieżności między ideałami chrześcijańskimi a rzeczywistością społeczną były dziś w rzeczy samej większe, niż te, które zachodziły między wieczną i niezmienną nauką Chrystusową, a teorią i praktyką idei narodowej od jej początków do chwili obecnej.

Wojciech Kętrzyński

Ks. Michał Lubicz

Duch permanentnej reformy

Są problemy, godne omówienia, do których katolik podchodzi, według myśli Ap. Pawła, z uczuciami „słabości, bojaźni i ze drżeniem wielkim". (Kor. 2, 3.), wewnętrzny bowiem głos przypomina wtedy, że o rzeczach tych rozważać, mówić i pisać wypada w nastroju skupienia i powagi, by nie wnosić mieszczańskich oddźwięków i hałasów. W sumieniu powinny brzmieć wtedy Boże słowa, skierowane do Mojżesza i Jozuego: „Nie przystępuj tu, zzuj obuwie z nóg twoich, miejsce bowiem, na którym stoisz, jest ziemią Świętą!".

***

Dosyć często słyszymy dzisiaj i czytamy o potrzebie reform w Kościele. Piszą i mówią o tym różni ludzie i różnie. Jedni ujmują to w formy rzeczowych i spokojnych rozważań. Inni, wyraźnie folgują swoim nerwom, z lekkim sumieniem, z wielką łatwością rozwiązują przeróżne problemy, wynajdują winowajców oraz wysuwają całą litanię niedociągnięć, zaniedbań i przewinień, w przekonaniu, że w ten sposób zapoczątkowali zbożne dzieło, mającego niebawem rozpocząć się wyścigu w reformowaniu Kościoła.

Dzisiaj, gdy całkiem niezależnie, a może i równolegle do wypadków życia społecznego i politycznego, wszystkie warstwy i środowiska społeczności chrześcijańskiej, ostro pragną otrząśnięcia się ze snu duchowego i zrzucenia z siebie pęt mierności, gdy wszyscy świadomie odczuwamy potrzebę mądrego i roztropnego dążenia do życia bardziej pełnego i doskonałego, — owszem, powinno się myśleć o reformach w Kościele, mówić o nich i pracować w tym kierunku, lecz robić to poważnie, z godnością dzieci Bożych, ważąc każdą myśl, a tym bardziej — słowo.

Czy trzeba dowodzić, że każde słowo chrześcijanina, zaprawione kwasem ostrego sądu i nieżyczliwości, od razu bywa odczuwane; że wywołuje ono skutki przykre i szkodliwe, a do autora cierpkich słów pozwala zastosować znane: „Medice, cura te ipsum".

Dzisiaj więcej niż kiedykolwiek, zdaniem naszym, mówienie i pisanie o reformach w Kościele, powinno odbywać się w nastroju powagi i spokoju: tego rodzaju bowiem prace już trwają od wielu lat, a zakres ich pomyślany jest tak szeroko i głęboko, że tylko solidnie zaangażowany w życiu duchowym katolik, potrafi należycie ocenić wysiłki swych współbraci w wierze, i duchownych i świeckich.

Autor niniejszego artykułu nie zajmuje się tym wielkim problemem dla celów naukowych, lecz o tyle tylko, o ile wymagają tego jego osobiste życie duchowe, oraz kierowanie powierzonymi mu przez Kościół sumieniami. Toteż nikogo niechaj nie zdziwi, że w jego rozważaniach może okazać się więcej śmiałości, niż umiejętności; więcej surowego materiału, niż ujętych w ścisłe ramy przemyślanych syntez...

***

Na czym polegać mają reformy? Co, właściwie, podlega w pierwszym rzędzie reformowaniu?

Katolicy, słabo orientujący się w całokształcie zagadnienia, nie trafiają zwykle w sedno rzeczy, nie dochodzą, powiedzielibyśmy, do korzeni i korzonków sprawy: widzą bowiem przed sobą jedynie pień i gałęzie. Dlatego wszyscy w kółko powtarzają i wiele się rozwodzą nad potrzebą poprawy obyczajów i pogłębienia miłości bliźniego. Owszem, chodzi i o to. Ważne to sprawy. Bardzo aktualne. Lecz to już gałęzie, liście, kwiaty i owoce w życiu chrześcijanina. Dzisiaj chodzi o rzeczy jeszcze większe i jeszcze bardziej żywotne.

Przede wszystkim chodzi o nowe, bardziej syntetyczne ujęcie, oraz o mądre, a zarazem życiowe i proste dostosowanie do codziennego życia zasad życia duchowego. Chodzi o ustalenie i wprowadzenie w ramy naszego szarego życia zasad pełnego życia chrześcijańskiego. Chodzi o to, by i stan zakonny, i stany świeckich katolików jasno rozumiały, że w Nowym Testamencie, tj. w granicach Królestwa Chrystusowego, nie wolno świadomemu katolikowi zatrzymać się i poprzestać na samych przykazaniach boskich i wszelkiego rodzaju obowiązkach. Nie wolno poprzestać na czysto wewnętrznym stosunku do Boga, jako tylko Boga. Jest to stosunek dobry, wywoływany i utrzymywany przez Łaskę. Lecz stanowi on życie religijne „maleńkich dzieci w Chrystusie". (I Kor. 3, I).

Mistrzowie życia duchowego nie obawiają się dzisiaj podkreślać, że właściwe życie chrześcijańskie, poczynające się z chwilą Chrztu, wzmocnione przez Bierzmowanie i karmione przez Eucharystię, jest to już życie w organicznej jedności z Chrystusem, a przez Niego — z całą Trójcą Św. A więc jest to życie, które może i powinno rozwijać się w każdym chrześcijaninie, prowadząc każdego na szczyty tzw. życia mistycznego.

Wtedy dopiero, gdy katolik coraz bardziej świadomie i intensywnie żyje darami Ducha Świętego oraz coraz bardziej staje się wrażliwy i powolny działaniu i wodzicielstwu Ducha Świętego, — zaczyna się pełne życie chrześcijańskie, zaczyna się — w pewnym sensie — właściwe życie religijne Nowego Testamentu.

***

I tu przed dzisiejszym katolikiem staje cały szereg problematów, teoretycznych i praktycznych. Czuje on, że rozwiązanie ich wprowadza go w tajemnicze dotychczas dla niego królestwo łaski, Królestwo Chrystusa Mistycznego i pozwoli mu na zrozumienie i przyswojenie sobie podniosłej nauki Ap. Pawła o istocie i charakterze życia chrześcijańskiego.

Lecz ileż trudności napotyka na tej drodze katolik, gdy świadomie zaczyna realizować ten program. Jakżeż często bywa bezradny, gdy stanowczo dąży do życia pełnego w Chrystusie. Na ileż sprzecznych i wzajemnie wykluczających się myśli i zasad postępowania natrafia on, gdy przystępuje do czytania i studiowania różnych dzieł na tematy życia wewnętrznego.

Tu dopiero zaczyna on rozumieć, że dzisiejszy katolicyzm, który całkiem słusznie szczyci się sukcesami w dziedzinie badań Pisma Świętego oraz rozwoju filozofii i teologii dogmatycznej, moralnej i prawa — dziwnie jakoś nie zdążył wykończyć i uplastycznić swej nauki, dotyczącej najważniejszej, bo najbardziej praktycznej dziedziny, — samego życia duchowego, tego, co zwykle nazywamy teologią życia wewnętrznego, albo teologią ascetyczno - mistyczną.

Każdy wnikliwy i obiektywny badacz zagadnień życia wewnętrznego, z jednej strony, podziwia głębie, zakres, śmiałość i piękno katolickiej nauki o życiu duchowym, niewspółmiernie przewyższającej osiągnięcia teologów prawosławnych i protestanckich. A jednak nie może nie stwierdzić, że dotychczas Kościół Katolicki nie opanował tej dziedziny w ten sposób, by z łatwością mógł pouczyć i pokierować wszystkie swe dzieci — szczególnie, gdy chodzi o ludzi świeckich — w dążeniu do realizacji ideału doskonalenia się.

A czy my wszyscy — i duchowni i świeccy katolicy — nie zwróciliśmy — z pewnym zdziwieniem — uwagi na jedno oryginalne zjawisko, że oto w XX wieku, rzucane są w masy katolickie hasła, rozpoczynające się od nieco przykrego słowa — „Z powrotem"... A więc: „z powrotem do częstej Komunii Św."; „z powrotem do częstej Spowiedzi Świętej"; „z powrotem do częstych aktów żalu doskonałego"; „z powrotem do czytania przez wiernych Pisma Świętego"; „z powrotem do Mszy Świętej", tj. do świadomego udziału w Niej; „z powrotem do życia mistycznego"; „z powrotem do kapłaństwa świeckich i specjalnie — małżonków"...

Co to wszystko znaczy? Postęp czy cofanie się?

A właśnie obserwujemy tu wielki proces życiowy, świadczący o wielu pozytywnych cnotach Kościoła. Jest to nie nowy, lecz stale powtarzający się, stale trwający proces reformy katolickiej, którą przeprowadza Kościół, zawsze, skoro zauważy niedociągnięcia, albo niedorzeczności w swoim życiu zbiorowym. Dzisiaj odrabia Kościół to, czego nie zrobił wczoraj. Dzisiaj naprawia błędy życia praktycznego, których — wskutek słabości i ograniczoności ludzkiej — nieświadomie lub półświadomie, dopuściły się Jego dzieci.

Przepojenie milionów ludzi zasadami Chrystusa i utrzymywanie ich życia w atmosferze tych zasad — to najtrudniejsze na ziemi zadanie. Na przestrzeni 2000 lat przeprowadził Kościół olbrzymią, bez przesady, nie ludzką pracę. Codzienne życie ludzkie — to olbrzymi front!

Zwykły, nieumiejętny obserwator życia Kościoła nie potrafi ogarnąć swym słabym okiem obrazu tego życia, odbywającego się na wszystkich odcinkach olbrzymiego frontu. I dlatego nie zrozumie ani całości obrazu, ani poszczególnych fragmentów. Rzucają mu się w oczy łatwo przejawy i skutki ludzkich grzechów i słabości, lecz jakżeż często nie widzi on olbrzymich wysiłków i osiągnięć ludzkiego umysłu i woli, dokonywujących — przy pomocy Łaski — istnych cudów.

Taki obserwator o prostackim — za przeproszeniem — sądzie, nie potrafi sam zrozumieć jeszcze jednej rzeczy w życiu Kościoła, — ile to niedorzeczności, ile szkody, ile zła mogą spowodować dobre same w sobie wysiłki ludzkie. By życie Kościoła szło idealnym trybem, by zawsze panowała anielska sielanka, Kościół, tj. my, jego członkowie, musielibyśmy zawsze żyć i pracować tak sprawnie, jak sprawnie pracują maszyny fabryczne. Wszystkie części każdej maszyny powinny działać według myśli ich twórcy, której nie wolno naruszyć ani na jotę. Skoro jakaś część maszyny zaczęłaby pracować za gorliwie, już by nastąpiła nieuchronna katastrofa. To, to samo obserwujemy w życiu Kościoła. Czy nie ma tu pewnej analogii do tego, co mówi Ap. Paweł, o zakonie i niekonsekwentnej woli ludzkiej? (Rzym, 7, 7—17).

„Zakon jest święty, a przykazanie święte, sprawiedliwe i dobre. Więc to co dobre, stało się dla mnie śmiercią? Bynajmniej. Lecz grzech, żeby okazać się grzechem, przez dobro sprawił mi śmierć!"...

Pielęgnując troskliwie i starannie źródło i ognisko życia Bożego w duszach wiernych — kult Sakramentów Świętych i ogólne zasady życia duchowego — Kościół jednak zmuszony był, już od zarania swego istnienia, zwrócić główną uwagę swoją na obronę wiary i wyostrzenie broni, któ ra jednocześnie krzepiłaby obrońców i skutecznie odpierałaby wszelkie napaści.

Tą bronią stały się różnego rodzaju prace apologetyczne. Później prace o charakterze coraz bardziej spokojnym, systematycznym. Na koniec — ściśle naukowe prace o treści teologicznej i filozoficznej: chodziło bowiem już nie tylko o bezpośrednie zmagania z przeciwnikami, lecz i o usystematyzowanie bogatego dorobku myśli chrześcijańskiej z poprzednich wieków.

Ta z początku przymusowa rozrzutność, połączyła się następnie z pewną bezplanowością w pracach uczonych katolickich. Często myślano i pisano o rzeczach, które interesowały producentów, a nie miały nic, albo prawie nic wspólnego z bieżącymi potrzebami codziennego życia Kościoła. Wybujały intelektualizm utracił kontakt z życiem, zaniedbując żywotne potrzeby i świeckich i duchownych katolików. Dzięki temu całość nauki Kościoła i codzienne życie chrześcijańskie wszystkich środowisk świata katolickiego, przybrało mocno jednostronny charakter.

Życie większości katolików, pozbawione bywa cech harmonijnie rozbudowanego stosunku do Boga. Pierwsze miejsce zajmuje rozumowe poznanie Boga. A ponieważ rozumowanie to zatrzymuje się zwykle u początków nauki Chrystusa, całe życie chrześcijańskie ma charakter płytki i ograniczony. Ten nieproporcjonalnie do całości rozbudowany czynnik rozumowy w teologii i w codziennym życiu świeckich i duchownych katolików, bardzo ujemnie odbił się na teologii, jako na całości. Nasi teologowie, tej miary co O. J. Woroniecki i Ks. A. Żychliński, bardzo ostro zaznaczyli w swych dziełach, ujemne skutki przerostu intelektualizmu w dziedzinie wiedzy religijnej i świeckiej.

Intelektualizm w życiu religijnym, powodując kurczenie się życia woli i serca, przyczynia się do obniżenia ideału życia duchowego, do osłabienia jego charakteru nadprzyrodzonego.

A to dla wierzącego Nowego Testamentu praktycznie oznacza, cofanie się do Starego Testamentu, oraz przekształcenie całej jego psychiki.

A to wszystko dlatego, że dach nauki kościoła ułożony na tym odcinku, jest na razie tylko prowizorycznie. Nie jest tak gruntownie wykończony, jak inne istotne części domu.

Ucierpiały dzięki temu szczytowe, ostateczne syntezy nauki Chrystusa, o praktycznym życiu chrześcijańskim: o pełnym zjednoczeniu z Bogiem, jako Ojcem, a następnie — z Osobami Trójcy Świętej; o miłości samego siebie, jako drugiego Chrystusa; o miłości bliźnich, jako braci w Chrystusie, jako drugich Chrystusów, jako Dzieci Bożych; o stałym pozostawaniu w łasce, by każdy akt życiowy był przejawem myśli Bożej i planu Bożego, o świadomej współpracy z Bogiem itd.

Ten ujemny proces trwał na tym odcinku w Kościele przez całe wieki. Ludzie Święci i wielcy myśliciele katoliccy, widzieli to i w porozumieniu ze Stolicą Świętą starali się przeciwdziałać. Lecz wiedzieli oni i to, że procesy te, przykre same w sobie, nie zanikają za jednym skinieniem różdżki czarodziejskiej; że dopiero w swoim czasie udaje się je przezwyciężyć, i wtedy przyczynią się one do zrozumienia przez społeczność chrześcijańską właściwych zasad życia religijnego i metod jego rozwoju. Dlatego ci — z powołania Bożego — reformatorzy nie wykazali w swoich zbożnych wysiłkach ani podenerwowania, ani rozgoryczenia ani zniechęcenia. Mówili i pisali spokojnie i rzeczowo. Nie zrażali się, że traktowano ich nieżyczliwie, a czasem podejrzewano nawet o przeróżne herezje. Mimo wszystko, oni mówili i pisali swoje. Byli to prawdziwi reformatorzy, kierowani przez Ducha Świętego. Jedni z nich byli bardziej śmiali, inni — bardziej powściągliwi. Wiedzieli oni, że sztuce oddziaływania na umysły i serca bliźnich muszą towarzyszyć, nie dająca się zniechęcić miłość i zdrowe nauczanie.

Iluż to tak znakomicie wykształconych ludzi otworzyło oczy nam i naszym bliskim na właściwe zrozumienie doktryny i życia wewnętrznego. Dzieła ich, które czytamy nieraz po kilka razy, nie tylko nie oddalają nas od Kościoła, nie tylko nie podburzają — chociażby i nieświadomie, — lecz, przeciwnie, wywołują jeszcze większe zrozumienie dla jego doniosłej roli w naszym życiu osobistym.

Dzisiaj, gdy katolicy coraz gorliwiej śpieszą do Stołu Eucharystycznego, możemy łatwiej zrozumieć, że Kościół, uchylając surowy i nieżyciowy zakaz przystępowania do częstej Komunii, dowiódł jeszcze raz, że pielęgnuje cnoty pokory, męstwa i roztropności; że w nim, właśnie w nim żyje duch stałej i od Boga pochodzącej reformy.

Wiemy, że według nauki pierwotnego Kościoła, obowiązek, a jeszcze więcej i właściwiej — przywilej udziału we Mszy Świętej, był organicznie związany z obowiązkiem i przywilejem złożenia własnej ofiary — w postaci chleba i wina — i wzięcia udziału w Uczcie Eucharystycznej. Za grzech i nonsens uważano — być na Mszy Świętej i nie przyjąć Komunii Świętej.

Ważkie musiały być powody, dla których zdecydował się Kościół na krok, zasadniczo zmieniający stosunek chrześcijanina do Mszy i Komunii Świętej. Wydaje się niejednemu z nas dzisiaj, że zakaz przystępowania do Komunii w tej rozciągłości, jaka miała miejsce, nie był słuszny. Zapomniano o właściwej roli Eucharystii w życiu duchowym katolika. W okresie natężonych walk z protestantyzmem, który jednym zamachem mocno zeświecczył naukę Chrystusa i sprowadził ją do słodziutkiej moralności i prymitywnego pojęcia Opatrzności Boskiej, katolicyzm mężnie i skutecznie bronił podstawy życia eucharystycznego, lecz nie uchronił się od dalszego pogłębienia przedziału między Chrystusem Eucharystycznym, a człowiekiem wierzącym. Przedstawiciele Kościoła, jako główny punkt nauki o Eucharystii, wysuwali wtedy obecność Pana Jezusa w Najświętszym Sakramencie. O. Charles, pragnąc, abyśmy jak najrychlej i najzupełniej zaleczyli całe to schorzenie w organiźmie naszego życia duchowego, w jakżeż przekonywujących, lecz zarazem i ostrożnych słowach porusza ten delikatny i do dziś aktualny temat.

„Komunia Święta stała się wskutek tego coraz bardziej czymś na kształt królewskich odwiedzin. Chrystus udziela wiernym Swej obecności. Komunie Święte powinny być rzadsze i odleglejsze, aby pospolitość rzeczy codziennych nie przyćmiła ich blasku... Zaczęto troszczyć się głównie o to, czy wierny jest godny przyjęcia Króla Przedwiecznego"...

A więc stale i prawie wszędzie powtarza się ten sam praktyczny (nie dogmatyczny!) błąd. Stale zawadzamy i potykamy się o rzecz dobrą. Nie umiemy utrzymać równowagi między Odkupieniem a Wcieleniem. I dlatego chowamy oczy przed słońcem.

(Dokończenie na str. 4).

Aleksander Gella

ZAKOPANE PRZEŚWIETLONE

Na tej samej wysokości i szerokości geograficznej leżą dwa miasta. Pokrywają się tak dokładnie, że tylko nieliczni wtajemniczeni wiedzą, iż pod tą samą nazwą, na tej samej przestrzeni, pod tym samym niebem, egzystują, przenikają się nawzajem, współżyjąc i utrzymując się jednoczesnie — dwa różne miasta. Ale że to przyszedł czas odkrywania rozmaitych tajemnic, nie wytrzymam i ja: powiem głośno to o czym tylko niektórzy myślą... Są dwa miasta Zakopane! Jedno stare, które niegdyś wsią było, ledwie że nie pogańską i drugie młode, narastające szybko na pierwsze, jak mchy na kamień.

Sam ten fakt jest zjawiskiem dość powszechnym i nie w tym sęk. Ale gdy się wnika w sprawę dalej, głębiej — okazuje się, że jedno Zakopane w niczym nie jest podobne do drugiego. Nie dość na tym, że młodsze — ma nowoczesne urządzenia, luksusowe hotele i kolejki wspinające się po szczytach, a stare jeno strzeliste dachy i krzepkie nogi, które z kolejkami idą w zawody. (To osatnie proszę rozumieć dosłownie. Znam góralskie dziewczęta niewysportowane, które ścigały się z kolejką linową na Gubałówkę i dały się jej wyprzedzić w biegu pod górę tylko o kilka sekund). Jedno Zakopane, choć ma ciało zgrzybiałe, jest wiecznie młode duchem, drugie, choć rozbudowywane i zasilane z wszechstron zastrzykami zasobów materialnych ma chorującą na nudę, rozpaczliwie snobistyczną duszę.

Mam szczęście przyjaźnić się z pierwszym i znać na wylot drugie: Stąd bierze się moja rozpacz, gdy widzę jak rozrastające się Zakopane — snob zwolna zatruwa jadem importowanym z wszystkich miast Polski i częściowo z zagranicy — żywotność pierwszego.

Aby jaśniejszym się stało, gdzie przebiega między omawianymi miastami granica, proszę posłuchać, co to jest Zakopane prawdziwe. O jego początku niech powie góralska gadka.

„Najpirwej przyszedł tutaj taki jeden, co to nikt onego nie znał, a przezwali go Gąsienica, bo beł w pasiastym odzieniu. Nikogusieńko w tej kotlinie nie beło, ale onemu tu się zwidziało i motykom zakopał owies na łączce, co się ku słońku zwyrtła, a na połedniej stronie Gubałówki. A sam stamtąd wrócił do dom. Wiosna beła... A dalej (czytaj — Później kiej ludziska zbaczyli, że dyć i tu owies chyta się rość, poczęli się wlyć zza Gubałówki i bez Ciomgłówkę". Taki był początek... A gdy na Zakopiańskiej kotlinie zaroiło się już od zagród o wysokich stromych dachach z szerokimi okapami, gdy w jednej stronie rozgazdzili się potomkowie Gąsienicy przezwani Samkami, w innej Ciaptakami, a jeszcze gdzie indziej Froneckami. Gdy za rzeką pod samą Gubałówką przycupnęli Tatarowie, a na Krupowej równi zaorali pola Bechledowie, Chramce i Giewonty, gdy na stromizmie Ciągłówki posiali owies Brzegowie i Zwijacze, a wiele wiele innych rodów rozsiadło się między wspomnianymi, zjawili się pierwsi inteligenci, których życie, praca i stosunek do rzeczywistości zdecydowały o powstaniu uzdrowiska i miasta. Po tzw. Odkryciu Zakopanego zjeżdżać i osiedlać się w nim zaczęli zrazu ludzie, którzy umieli karmić się tym wszystkim, co dają Tatry, którzy doceniali charakter środowiska, których urzekało to, co zapędzało w pobliże granitowych skał wszystkich gazdów od pierwszego Gąsienicy począwszy. Ci ludzie stworzyli atmosferę pierwotnego miasta. Oni czuli góry! Pytali za Goszczyńskim: „Cóż to jest góry, ta dziwna potęga przywiązana do was?" A rozumiejąc, że siła idąca od tej gwałtownej i surowej rzeźby natury, sięga nie tylko płuc, ale w jeszcze większym stopniu dusz ludzkich, zaklimatyzowali się tym szybciej w szczerej symbiozie z elementem miejscowym. Nie było to rzeczą prostą. W żadnych regionach Polski warunki geograficzne, klimatyczne i przeszłość polityczna nie miały tak wyraźnego wpływu na ukształtowanie się sylwetki psychicznej i fizycznej mieszkańców, jak właśnie na Podtatrzu. A psychika ta nie była łatwa do zasymilowania przez ludzi z nizin. Wpływ warunków geograficznych na charakter góral jest bardziej znany niż jakkolwiek inny. Dlatego przypomnę nie tylko zbójnickie rzemiosło i otaczającą je cześć i sławę ogromnej liczby synów tego ludu na przestrzeni wieku XVI, XVII, i XVIII i początków XIX, która wycisnęła piętno niezatarte na postawie duchowej i tęsknotach całego społeczeństwa góralskiego, ale również jeden moment historyczno - socjologiczny, przesądzający zdaniem moim o ogólnym charakterze górali zakopiańskich: prawie całe Wysokie Podtatrze nie znało pańszczyzny. Wychował się tu specjalny typ człowieka wolnego, którego ręka sięgała — przed każdym kto zagrażał jego wolności — nie do kapelusza, lecz do ciupagi. Nie było tu niewoli klasowej. Znano ją jedynie po sąsiedzku, panoszyła się dalej na południe i północ (stamtąd też często rekrutowali się zbójnicy), ale tu u podnóża turni wolność dawała ludziom pełną piersią chwytać ostre powietrze Tatr.

E dy nosi panu, coscie nom dali?
Ej obrące na ręce, wy przeklęte
Niemcy!

— śpiewa góral brany do austriackiego wojska.

Ale od górali powróćmy do miasta. — Rozsiadłe szeroko pod bokiem leżącego Giewonta, otworzyło szeroko ramiona ku wszystkim chorym na płuca. Powstały zwykłą rzeczy koleją — sanatoria, szpitale, szkoły. Rozwijające się miasto wytworzyło z wolna własny typ mieszkańca: zakopiańczyka. Moderizowało (żeby nie powiedzieć europeizowało) wiele rodów góralskich i zarazem asymilowało wiele napływających przybyszów, urabiając ich cechy na podobieństwo góralskich. Powstawał dodatni typ inteligenta, nie należącego do żadnej klasy społecznej, a stojącego w służbie podhalańskiego ludu. W niemałej mierze przyczynił się do tego rozwój wielce zasłużonej, starej instytucji Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, następnie zakopiańskie Gimnazjum z doborowym przez wiele lat gronem nauczycielskim, pierwsza w Polsce drużyna harcerska założona przez twórcę polskiego harcerstwa, posiadająca świetne tradycje z czasów pierwszej wojny światowej i w okresie międzywojennym wychowywała młodzież katolicką Sodalicja Mariańska, prowadzona przez zasłużonego jej Moderatora, ks. J. Winkowskiego. Powierzchowny wzorzec zakopiańczyka obejmował zalety duchowe i fizyczne taternika i narciarza. Głębszy — miłośnika Tatr — ojczyzny ludzi twardych, wytrwałych i mężnych, a dalej człowieka prostolinijnego o współczesnym spojrzeniu na życie, bez konwenasów i przesądów! Z ludności miejscowej, mieszającej się coraz bardziej z „ceprami" (szukający tu pracy) powstał nowy element — niech mi czytelnicy wybaczą, że się tak wyrażę — półgórali. Często pełnowartościowi ludzie, którzy tężyzny swej dowiedli w ostatnim kataklizmie dziejowym. Wcześniej niż w Warszawie myślano, że przeciw czołgom walczyć można butelkami z benzyną — mój 17-letni wówczas przyjaciel, ochotnik Obrony Narodowej bronił w ten sposób przejścia czołgom niemieckim na chochołowskim mostku.

(dokończenie na str. 5)

Duch permanentnej reformy

(Dokończenie ze strony 3-ej)

bo jest... jaskrawe. Lepiej się czujemy w suterenach, niż w jasnych i przytulnych pokojach na piętrze...

A oto pozytywna nauka tego rzeczowego reformatora: „Lecz Eucharystia, pisze O. Charles, jest przede wszystkim Sakramentem działania Chrystusa. On pozostaje obecny w duszy na to, ażeby pracować. Eucharystyka nie jest symbolem obecności, jakby był nim kwiat, relikwia, lub obraz: Ona jest symbolem posilania; jest pokarmem duchowym. Toteż Komunia Święta może być częsta bez żadnej niestosowności. Czyż trzeba rzadziej spożywać posiłki z obawy by się nie stały zbyt pospolite? A ponieważ Eucharystia jest pokarmem, najważniejszym, więc dla komunikującego jest nie to, w jakim stopniu jest godny, ale w jakim stopniu jest potrzebujący...".

***

Piszemy to wszystko, by chociaż w małym stopniu odsłonić rąbek wewnętrznego życia Kościoła i stwierdzić, że ta zaiste idealna w swej nauce i swoim programie działania oraz zaiste Bosko - ludzka organizacja dzisiaj, w XX wieku ery chrześcijańskiej, jeszcze nie doszła do kresu swojego rozwoju. Nauka Chrystusa ma już prawie wykończone fundamenty i zręby dogmatyczne. Lecz jeżeli chodzi o dokładne i sprecyzowane zastosowanie tej nauki w codziennym życiu chrześcijańskim, musimy pamiętać, że szczytowe powiązania nauki Chrystusa z życiem, czekają jeszcze na ostateczne opracowanie.

Dążenie do wyższych form doskonałości i właściwej świętości, nie stanowi jeszcze sztuki, naukowo, przy pomocy formułek opanowanej. Nie są to tylko poszczególne wypadki, że nie jedno na tych szczytowych drogach stanowi tajemnicę, nie samą w sobie, lecz dla nas, ludzi XX wieku. Mamy przecież zastępy ludzi dobrej woli, ludzi szlachetnych o daleko nieprzeciętnej sile woli, którzy postawili sobie za specjalne zadanie swego życia — dążenie do wyższych form doskonałości. Oderwali się oni zewnętrznie i wewnętrznie od wszystkiego, co mogłoby stanowić chociażby najmniejszą przeszkodę na tej drodze. A jednak... jednak i na tej świetlanej drodze, czasem i jej początków, lecz przeważnie już gdzieś w połowie jej, a może i jeszcze wyżej, muszą oni przeżywać prawdziwą tragedię: w pewnym bowiem momencie tracą z oczu samą drogę i bezradnie utykają w miejscu, albo i cofają się z powrotem. Dlaczego? Z własnej winy? Nie wykluczamy i tego Lecz przeważnie staje się to z braku doświadczonych przewodników, którzy by sami dobrze opanowali technikę wspinania się na Boże szczyty Oraz dlatego, że szkoły życia duchowego, w podwoje których oni świadomie weszli, te stare wiekiem, wypróbowane szkoły, dobrze rozbudowane i zabezpieczone od wszelkich zaburzeń heretyckich i zmienności losu — nie mają wykończenia na swoich szczytach. Ci z członków tych czcigodnych zakonów i zgromadzeń, którzy potrafili osiągnąć szczytowe, heroiczne stopnie świętości, robili to, w pewnym sensie, na własną rękę, przy pomocy Bożej i swojej własnej woli, która zdołała uchwycić tajemnicę wspinania się na Boże Wyże. Lecz całe zastępy bohaterskich dusz, przebywające nie tylko w klasztorach, lecz i w rodzinach, powtarzam, utykają w drodze.

Oto, co pisze na ten temat inny prawdziwy reformator, ks. Paweł de Jaegher, jezuita francuski, który w wielkim stopniu uchwycił te trudne do zbadania i tajemnicze drogi. Napisał on małe, lecz niezwykle wartościowe dziełko pt. „Jedno z Jezusem".

„Niestety — pisze on — dusze rzadko słyszą o tej nauce, a jeszcze rzadziej o sposobach przystosowania życia swego do prawd tak pięknych i pocieszających; życie ich wewnętrzne płynie obok nich. Ujęcie praktyczne życia wewnętrznego ogranicza się w nich prawie wyłącznie do walki ze złymi skłonnościami, zatrzymując się u progu życia zjednoczenia. Wielka to szkoda, takie bowiem dusze znają jedynie trud w życiu wewnętrznym, a nie wiedzą poniekąd, że istnieje jeszcze inna jego strona pełna miłości i wesela, najczystsza, najsłodsza, właściwa życiu zjednoczenia, która prowadzi nas do udziału w Bogu i utożsamia z Nim przez Miłość, tak iż rozkoszujemy się Nim i Jego doskonałościami, jak gdyby były istotnie naszymi" (str 6—7).

„Zarówno mówcy, jak i kierownicy dusz poruszają wszelkie tematy w kazaniach i przemówieniach swoich, nie śmieją jednak przystąpić do nauki o łasce poświęcającej. Iluż kapłanów i zakonników słyszało o niej tylko na suchych i teoretycznych wykładach teologii dogmatycznej! Choć posiadają pewną wiedzę w tym kierunku, wiedza ta jest martwa i bezczynna. Choć studiowali te wzniosłe prawdy, nie zasmakowali w nich, co więcej — nie usiłowali wprowadzić ich do życia swego, nie żyli nimi. Skarb ten nieoszacowany, zamiast nabrać szczególnej ceny w ich oczach, stał się jedynie balastem, który usiłują czym prędzej porzucić, zapomnieć o nim. Jest to rzecz, doprawdy, niepojęta. Oto bowiem jeden z zasadniczych punktów naszej wiary pozostaje w zaniedbaniu. Ogromna większość chrześcijan nie wie nic o tym, co można by nazwać istotą życia chrześcijańskiego. Widzą w tym życiu jedynie stronę zewnętrzną, rzeczywistość dotykalną i materialną, lecz duch właściwy tego życia, najwznioślejsze jego szczyty i najgłębsze tajnie dla nich zakryte".

„Nieraz się żalimy, że wśród nas tak mało jest mężów prawdziwie Bożych. Widzimy wielu kapłanów, zakonników i zakonnic, którzy za młodych lat rokowali najpiękniejsze nadzieje, a później zatrzymali się w pół drogi i nie doszli do wyższej doskonałości. Pytamy, jakie są tego przyczyny? Czy częściowo wina nie tkwi w kierunku duchowym, któremu podlegali? Przyznać musimy, że niektóre szkoły duchowe zatrzymują się jakby u progu życia zjednoczenia. Niestety, kierownicy najczęściej nie prowadzą duszy dalej. Ich praca ma charakter zbyt negatywny. Na to, by duszę zapalić miłością i unieść na szczyty, potrzeba ideału pozytywnego o liniach wzniosłych i szlachetnych. Tymczasem z braku tego ideału wiele dusz zwalnia bieg i w końcu ustaje zupełnie" (str. 94—95).

Gdzież tedy znajdziemy ten wymarzony ideał pozytywny? Na to o Jaegher odpowiada:

„Gdyby wśród tej uciążliwej wędrówki, ktoś im wskazał w tym momencie drogi wielkie idee Pawłowe lub, bodaj, rzucił na nie promień światła, niejedna z nich nader łatwo dałaby się skierować ku świętości. Polecamy więc wszystkim zasady Wielkiego Pawła, jako uzupełnienie wszelkich innych szkół życia duchowego, które na przyjęciu tych zasad wielce by zyskały" (str. 95—96).

I tu o. Jaegher pozwala sobie na wydanie śmiałego i brzemiennego w skutki sądu, który jednak nikogo nie płoszy, nie zraża, a tylko wywołuje uczucie wielkiej wdzięczności, ponieważ autor odsłania przed nami chociaż i przykrą, lecz życiową prawdę, i w ten sposób pozwala ustalić, na jakiej długości i szerokości Królestwa Chrystusowego znajduje się dzisiaj nauka o życiu wewnętrznym Nowego Testamentu.

Pisze o. Jaegher: „Często owe szkoły (życia duchowego) dużo mają w sobie dobrego, jednak hamują one dusze w drodze, wiodącej do świętości. Przyswoiwszy zaś sobie Pawłową naukę o utożsamieniu się z Chrystusem, staną się potężnym narzędziem w uświęcaniu dusz" (str. 96).

Dzisiaj, gdy coraz częściej i więcej przypomina się społeczności chrześcijańskiej apostolskie idee kapłaństwa wszystkich wiernych i gdy spodziewamy się wielkich wyników po żywej ich współpracy z Kościołem, staje przed nimi bardzo ważne zadanie — wczuć się w tętno serca Kościoła, zrozumieć dokładnie obecny jego stan, jego potrzeby i program działania na najbliższe czasy oraz wziąć w tych wszystkich pracach jeszcze żywszy i bardziej synowski udział, unikając szkodliwego albo za daleko posuniętego podziału na „My" i „Oni", a pamiętając zasadę św. Pawła: „Wszystko — pisał on do Koryntian — jest wasze, wy zaś Chrystusowi, a Chrystus — Boga" (I Kor. 3, 22, 23).

Przecież w Nim, tj. w Chrystusie, i wy, świeccy katolicy, „gdy usłyszeliście słowo prawdy (Ewangelię zbawienia waszego), uwierzywszy Weń, naznaczeni byliście pieczęcią obiecanego Ducha Św., który jest zadatkiem dziedzictwa naszego, w celu zupełnego odkupienia nabytku, ku uwielbieniu chwały Jego" (Efez. I, 13, 14).

Wszyscy więc możemy i powinniśmy realizować naszą ambicję chrześcijańską — pomagać Kościołowi, który, jako ziarno gorczyczne, już dawno rozrósł się w potężne drzewo o potężnych konarach i dalej się rozrasta, a, niewątpliwie, stale wymaga troski, zabiegów i... ostrych nożyc doświadczonego ogrodnika: w zdrowym bowiem i bujnym organizmie Kościoła trwa i trwać będzie permanentna reforma katolicka

Ks. Michał Lubicz

Artur Hutnikiewicz

LEGENDA MICKIEWICZOWSKA

Ostatnie dziesięciolecia wieku ubiegłego i pierwsze naszego stulecia są okresem szczególnie wzmożonego podziału i emancypacji poszczególnych gałęzi wiedzy. Coraz to nowe dyscypliny wyodrębniają się od pnia macierzystego, usamodzielniają, wypracowują samoistne, do stawianych sobie zadań, dostosowane metody badawcze. Jest to proces całkowicie zrozumiały i uzasadniony wobec wciąż rozszerzającego się zakresu myśli ludzkiej, wobec ustawicznie rosnącego bogactwa skomplikowanych, nowych problemów, którym nie mogą sprostać dotychczasowe narzędzia poznania.

Jedną z tych nauk młodych, zdobywających sobie dopiero prawo obywatelstwa, jest fenografia. Jej teoretyczne podstawy starał się określić jeszcze w r. 1914 J. Hirsch w doskonałej książce „Die Genesis des Ruhmes" („Geneza sławy"). W praktyce badania fenograficzne uprawiał na Zachodzie Gundolf, kiedy kreślił dzieje sławy Cezara, u nas w pewnym sensie T. Zieliński, w książce o Ciceronie. Fenografii poświęcił kilka teoretycznych uwag młody, przedwcześnie zmarły uczony polski J. B Richter w cennej rozprawie o „Zagadnieniach biografiki współczesnej". Fenografia jest związana węzłami pokrewieństwa z biografią, choć biografią nie jest. Przedmiotem zainteresowania obu jest wybitna jednostka, człowiek wielki: prorok, wódz, artysta, poeta. O ile jednak biografia usiłuje dać całą prawdę o człowieku, dotrzeć do jądra osobowości ludzkiej, to fenografia rezygnuje a priori z tak wysokich i — powiedzmy otwarcie — nieosiągalnych celów, interesuje ją nie „osoba sama w sobie", „istota osobowości" (ta jest niepoznawalna) lecz forma zjawiskowa danej postaci.

Osobowość geniusza, człowieka niepospolitego, ma niejako z natury rzeczy siłę szczególną budzenia zainteresowań, zmusza wszystkich, którzy w krąg jej oddziaływania weszli, do zajęcia postawy aktywnej, pobudza wyobraźnię, myśl, uczucie. Wielkość bohaterskich czynów, wspaniałość artystycznych osiągnięć, skłania jednostki i całe grupy do zajęcia się niezwykłym fenomenem, do wytwarzania często całkowicie odmiennych form widzenia wybitnej osobistości. Ale nie tylko jednostki i grupy społeczne, ideowe czy polityczne, istniejące za życia wielkiego człowieka, wypracowują swoje własne formy jego widzenia, pojmowania i wartościowania. Niemal z reguły każda epoka, każde pokolenie na nowo, na swój sposób rozwiązuje „problemat geniusza", dokonuje przewartościowania mniemań dotychczasowych, odkrywa nowe zalety i piękności w dziele wielkiego twórcy — jednym słowem tworzy nową jego formę zjawiskową. Te niezliczone, częstokroć na przestrzeni stuleci całych krystalizujące się formy widzenia wybitnej osobowości twórczej, utrwalone w świadomości jednostek, grup, całych społeczeństw i epok, urzeczonych wyjątkowością niepospolitego zjawiska, tworzą w sumie legendę, mit o wielkim człowieku. Fenografia bada dzieje takich legend, ich tworzenie się, wzrost i rozkwit, ich fluktuacje, przypływy i odpływy, walkę tendencji sakryfikacyjnych z tendencjami antylegendowymi, zmierzch mitów, a czasem niespodziane ich renesansy. A że legenda każda jest nie tylko marzeniem, jest nie tylko swoistą formą widzenia człowieka, lecz przez swój wpływ wychowawczy i mobilizującą uczucie sugestywność jest zarazem faktem społecznym olbrzymiej wagi, nie ustępującym niekiedy pod względem doniosłości faktom natury — dajmy na to — ekonomicznej, stąd szczególne znaczenie badań fenograficznych.

Pozwoliłem sobie na ten przydługi wstęp, gdyż wydał mi się nieodzowny jako wprowadzenie do artykułu o świeżo wydanych „studiach i szkicach fenograficznych" Stefana Kawyna*). Dr Stefan Kawyn, profesor literatury polskiej na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, jest jedynym bodajże w Polsce reprezentantem naukowo traktowanej fenografii. Jako znany od lat badacz „legendy mickiewiczowskiej" już przed wojną dał doskonałą pracę o „Ideologii stronnictw politycznych w Polsce wobec Mieckiewicza w latach 1890—1898", będącą jakby jednym, obszernym rozdziałem z wielkiej pracy o dziejach pośmiertnych poety. Obecnie w serii filologicznej wydawnictw Towarzystwa Naukowego K. U. L. ukazał się tom jego studiów nad legendą mickiewiczowską.

Nie jest rzeczą przypadku, że przedmiotem długoletnich badań autora jest właśnie legenda mickiewiczowska. Mickiewicz jest w dziejach naszej literatury i kultury narodowej zjawiskiem wyjątkowym. Genialny poeta-artysta, człowiek niezwykły i pełen uroku, a zarazem nauczyciel narodu, wieszcz i prorok, symbol żywy i najdoskonalszy idei swego stulecia, budził powszechne zainteresowanie już za życia, a po śmierci kult jego poezji i osoby rósł i potężniał ustawicznie, w miarę jak upływający czas, sędzia nieomylny, ukazywał coraz dobitniej nieprzemijające wartości dzieła poety. I jeśli chodzi o naszych Wielkich w przeszłości, to tylko w odniesieniu do Mickiewicza możemy mówić o fenomenie legendy w jej klasycznych kształtach. Pierwsze jej zręby i zarysy powstawały już za życia poety, pokolenia potomnych dzieło współczesnych kontynuowały. Książka Kawyna dziejów tego mitu o twórcy „Pana Tadeusza" w całości nie kreśli (jest to przedmiotem odrębnej, obszernej pracy, którą autor przygotowuje), ale daje tych dziejów dwa bardzo ważne rozdziały w studiach o „Mickiewiczu-człowieku" i „Mickiewiczu wśród filomatów i filaretów".

Mickiewicz-człowiek to podstawowy krąg legendy. Czytelników utworów poety, oczarowanych pięknem ich i głębią, wtajemniczonych w ich autobiograficzne podłoże, interesował nie tylko Mickiewicz-poeta, ale i zjawisko człowieka samego. Spodziewano się, że autor dzieł tak niepospolitych niepospolitym i pięknym musi być człowiekiem. Powstawała więc w szerokich kręgach czytelników i wielbicieli poezji mickiewiczowskiej forma zjawiskowa poety, kształtowana pod sugestią postaci Gustawa i Farysa, pod urokliwym działaniem romantycznej ikonografii (Wańkowicz). Przeciwstawiała się, wchodziła niekiedy w kolizję z tą formą widzenia wielkiego poety forma inna, wypracowana w kręgu tych, co nie tylko znali poetę z jego utworów, lecz obcowali z nim bezpośrednio. Były to nie tylko jednostki, przyjaciele najbliżsi, znajomi i krewni, ale grupy całe: filomaci, towarzysze wygnania w Rosji, przyjaciele drezdeńscy i paryscy. Koło Sprawy Bożej, legioniści z okresu „Wiosny Ludów", współpracownicy z r. 1855. Każda z tych grup obcując z Mickiewiczem, zniewolona osobistym jego urokiem, jak gdyby świadoma faktu, że oto jest jej dane widzieć i słuchać wyjątkowego w dziejach narodu człowieka, podpatruje i śledzi pilnie wszystkie szczegóły zewnętrznej postawy poety, jego twarz piękną, mieniącą się od uczuć, to znów znieruchomiałą, oczy przenikliwe, budzące niepokój, wsłuchuje się w głos jego donośny, dźwięczny, przenikający i z tych oznak i rysów zewnętrznych stara się odczytać tajemnicę wnętrza, odtworzyć wizerunek duchowy geniusza.

W oparciu o materiał skrzętnie zebrany z rozlicznych opisów, relacji i wspomnień współczesnych poety kreśli autor w sposób nadzwyczaj przejrzysty (podkreślić należy doskonałą architektonikę wykładu) poszczególne etapy kształtowania się i rozwoju tego podstawowego kręgu legendy, jakim jest Mickiewicz-człowiek. Autor zestawia i porównuje najrozmaitsze formy zjawiskowe w różnych wypracowane środowiskach, podkreśla ich znamiona wspólne i odmienne, uwydatnia w procesie tworzenia się legendy tendencje sprzeczne, gloryfikujące poetę i antylegendowe, wykazując dowodnie, że wszelkie próby zmierzające do podważenia mitu wywoływały w rezultacie nową, pogłębioną formę zjawiskową.

Studium Kawyna odsłania po raz pierwszy w sposób oczywisty i niedwuznaczny swoisty — powiedzmy — konwencjonalizm naszego spojrzenia na postać wielkiego poety. Jeśli od lat dziesiątków wśród szerokich warstw społeczeństwa ustaliła się pewna dla wszystkich wspólna i jednakowa na ogół forma widzenia Mickiewicza-człowieka i Mickiewicza-poety, to niewątpliwie jest to wynikiem od stu lat z górą działającej na świadomość zbiorową konwencji, już za życia poety tworzącej się legendy. Ale zarazem przekonuje nas studium autora i upewnia w przeświadczeniu, że ten konwencjonalizm spojrzenia, spojrzenia poprzez pryzmat legendy, nie jest sam przez się zjawiskiem ujemnym, wręcz przeciwnie, jest w nim zawarta wartość pozytywna. Bo legenda, choć nie jest życiem w jego nagiej prawdzie, lecz w pewnym sensie deformacją realnej konkretności, stara się przecież na swój sposób zgłębić istotę zjawiska, którym się żywi, odkrywa jego walory i wartości, niedostępne racjonalnemu trybowi poznania, widzi w człowieku rzeczywistym „symbol prawd odwiecznych" „wywyższa go ponad innych" w przeświadczeniu, że został zesłany na ziemię, by ludźmi kierował, „wiódł ich ku celom ostatecznym".

Legenda mickiewiczowska tworzyła się i kształtowała — jak wspomniałem — w najrozmaitszych środowiskach. Najliczniejszym, ale i najsilniej zróżnicowanym była bezimienna masa czytelników i wielbicieli pism poety. O wiele jednakże doniosłejszą rolę w dziele krzewienia i utrwalania kultu Mickiewicza odegrały ilościowo ograniczone, za to wewnętrznie zwarte, węzłami powinowactwa duchowego czy ideowego z poetą związane grupy jednorodne przyjaciół-powierników. Istnienie takich grup — cytuję słowa autora — „stwierdzić możemy na przestrzeni całej twórczości Mickiewicza; wszystkie ważniejsze utwory poety rodziły się niejako na oczach przyjacielskiego kręgu zaufanych, wtajemniczonych, dopuszczonych". Kult poety, kształtujący się i rozwijający w tych kołach przyjaciół i najbliższych powierników myśli, przesączał się na zewnątrz, rozszerzał żywiołowo dzięki niedyskrecji lub świadomym zabiegom tych nie mianowanych, a z własnej woli i gorliwości działających ambasadorów sławy poetyckiej Mickiewicza.

W dziejach wzrostu tej sławy rolę szczególnie ważną odegrała grupa jednorodna przyjaciół wileńskich, grupa filomatów i filaretów. Wyjątkowość faktu polega na tym, że grupa filomacka jest pierwszym chronologicznie środowiskiem, w którym wytwarzała się forma zjawiskowa poety, a zarazem jest to grupa, która dzięki wyraźnie i dobitnie określonej postawie ideowej stała się w procesie rozwoju osobowości twórczej wieszcza czynnikiem wybitnie kształcącym i wychowawczym.

Dziejom Mickiewicza wśród filomatów i filaretów poświęcił autor drugie, najobszerniejsze studium książki. W oparciu o nieocenione materiały archiwum i korespondencji filomatów odtworzył wewnętrzne stosunki towarzystwa, atmosferę ideową grupy, skreślił plastyczne i wyraziste sylwetki głównych jej koryfeuszów, poetów - współzawodników młodego Mickiewicza, a uzyskawszy w ten sposób odpowiednie tło i dystans nieodzowny dla sprawiedliwej oceny, wykreślił i wyznaczył główne linie kierunkowe i etapy rozwoju osobowości twórczej poety, dzieje jego samouświadomienia się twórczego. Nowością metodyczną studium jest sposób spojrzenia na tak powszechnie — zdawałoby się — znany okres życia Mickiewicza, okres wejścia w świat, pierwszego rozpędu, pierwszych zwycięstw. Byliśmy przyzwyczajeni dotychczas spoglądać na ten okres filomacki niby to oczyma samego poety. Tak patrząc ulegaliśmy wszystkim złudzeniom, wszystkim nieuniknionym deformacjom psychologizmu. Studium Kawyna odwraca tę perspektywę, ukazuje nam postać, obraz poety w tym kształcie, jaki utrwalił się w oczach przyjaciół i przekazany został w obiektywnych relacjach piśmiennych.

Na podstawie gruntownej analizy materiałów filomackich dochodzi autor do konkluzji, że „obraz Mickiewicza w oczach filomatów kształtował się w trzech fazach", zależnie od sytuacji wewnętrznej samego towarzystwa i od stopnia rozwoju osobowości twórczej poety. I tak faza pierwsza, to jakby okres całkowitej równorzędności sytuacji obustronnej, Mickiewicz jest wówczas jeszcze primus inter pares. Są to lata 1817 do 1819. Faza druga, to czas pierwszych symptomów rozluźnienia wewnętrznej więzi organizacyjnej grupy, w czym niewątpliwie doniosłą rolę odegrało odejście Mickiewicza, odejście faktyczne, wyjazd do Kowna, i o wiele groźniejsze, coraz szybsze oddalanie się wewnętrzne, ideowe młodego poety od grona rówieśników. Ale mimo to łączność jest jeszcze dość silna, choć stosunek wzajemny zmienił się zasadniczo. Mickiewicz nie jest już poetą jednym z wielu, równym wśród piszącej braci, jest pierwszym i jedynym wieszczem i przewódcą, Tyrteuszem grupy. I wreszcie faza trzecia, okres wewnętrznego rozbicia towarzystwa i powolnej agonii, a zarazem całkowitej emancypacji duchowej poety. Autor dwóch rewolucyjnych tomów poezji przełamuje ograniczone szranki ciasnego kręgu prowincjonalnego środowiska, staje się poetą romantycznym, poetą narodowym.

Pewnego rodzaju dopełnieniem dwu omówionych studiów są trzy krótsze szkice, książkę zamykające: o „Mickiewiczu towiańczyku w zwierciadle satyry emigracyjnej", o „Mickiewiczu w grupie legionistów 1848 r." i o „Mickiewiczu zabójcy poetów". Z tych trzech szkiców szczególnie interesujący jest pierwszy. O ile bowiem studia poprzednie ukazywały nam Mickiewicza w glorii rosnącej sławy, to tu spotykamy się z wizerunkiem poety odbitym we wklęsłym zwierciadle ostrej i bolesnej satyry. Przedmiotem tej satyry jest Mickiewicz towiańczyk. Koła wrogie Towiańskiemu, traktujące Sprawę Bożą jako widowisko godne śmiechu i pożałowania, nie mogły oprzeć się poczuciu grozy na wieść o akcesie Mickiewicza do grona wyznawców proroka z Litwy. Było w ich pojęciu coś niesamowitego i tragicznego zarazem w fakcie, że człowiek potężnego umysłu, rozległej wiedzy, geniusz poezji, mąż, od którego naród oczekiwał wielkiego, wyzwalającego słowa, dał się opętać sieciom szarlatana. Potraktowano Mickiewicza jako ofiarę Towiańskiego. Ogniskiem, skąd głównie szły ataki przeciw poecie-towiańczykowi było ugrupowanie emigrantów-demokratów, skupiające się wokół organu Towarzystwa Demokratycznego, od r. 1839 wychodzącej „Pszonki". Dla autorów i inspiratorów tej podjazdowej, to znów otwartej walki, były te ataki niewątpliwie bolesne, ale uważano je za konieczne. Forma ich była najrozmaitsza: najczęściej parodystyczne trawestacje dzieł poety, zwłaszcza III cz. „Dziadów", satyryczne interpretacje osławionej wróżby o mężu „Czterdzieści cztery", a szczególnie ironizujące parodie paryskich prelekcji Mickiewicza, tych głównie, w których profesor College de France wystąpił jako zdecydowany propagator idei swego mistrza. Kilka takich najbardziej charakterystycznych utworów satyrycznych poddaje autor analizie ukazując, jak obok gloryfikującej, legendowej formy zjawiskowej Mickiewicza krystalizowała się w kręgu emigracyjnym forma wręcz przeciwna, podważająca mit, ukazująca obraz człowieka zbłąkanego na bezdrożach błędnych idei.

Szczególnej wartości przydaje temu krótkiemu, lecz interesującemu studium jego źródłowość, oparcie na materiałach dziś już niestety niedostępnych, w pierwszym rzędzie materiałach archiwum rapperswilskiego. W ogóle należy podnieść, że cała książka Kawyna oparta jest nie tyle na opracowaniach, ile na źródłach z pierwszej ręki. Widać w niej co krok wyraźne ślady benedyktyńskiej zaiste skrzętności autora, który podjął się mozolny trud przedzierania się przez foliały starych roczników czasopism.

A wrażenie ostateczne książki? Studia Stefana Kawyna są istotnym wzbogaceniem literatury mickiewiczowskiej w roku jubileuszowym, są dziełem cennym przez swą zawartość treściową, poważne wyniki, sumienność naukową, a zwłaszcza przez swą metodyczną oryginalność, dzięki której otwarły się perspektywy na nową, ważną, a dotąd nietkniętą dziedzinę problemów, związanych z osobą i dziełem Mickiewicza.

Artur Hutnikiewicz

*) Stefan Kawyn: Z badań nad legendą mickiewiczowską. Studia i szkice fenograficzne, I. Lublin 1948, Tow. Nauk. K. U. L. Rozprawy Wydziału Historyczno-Filologicznego 3. Str. 170.

Zakopane prześwietlone

(Dokończenie ze strony 4-ej)

Nie gubiąc się jednak w przykładach, powróćmy do sedna sprawy. Opisany typ zakopiańczyka przetłaczany i zapluszany zostaje przez ludzi zgoła innego pokroju. Zmiana ta jest równoległa do zmiany charakteru miasta, lub jak wspomniałem do rozrastania się drugiego miasta Zakopanego.

Drugie miasto jest bękartem snobizmu i mieszczańskiego wygodnictwa życiowego. Powstało ze ścieków „wielkiego świata", który tu przywozi od lat nie tylko zagrożone płuca, ale i nudę wielkiego miasta. Zmienił się żywioł ludzki, przewalający ulicami Zakopanego i górskimi ścieżkami. Dawne Zakopane rojne od artystów różnego autoramentu i kalibru, Zakopane, Kasprowicza, Tetmajera, Orkana, Karłowicza, Ejsmonda, miasto ludzi szukających w górach czegoś nadzmysłowego: boskiego zachwytu i natchnień, miasto, któremu oni nadawali styl życia niknie pod stopami tłumu, szukającego zupełnie innych wrażeń. Miłośnicy Tatr! Pomyślcie, jak znikomy promil przyjeżdżających do Zakopanego „gości" zostaje tu ściągniętych urokiem gór. Lwia część zjeżdża przypadkiem. Reszta goni za wrażeniami, które nie wiążą się z samymi górami, jeno z pewnymi ich powabami. Jedni potrzebują słońca, inni terenów narciarskich, najwięcej niestety jest tych, których pędzi najpośledniejszego gatunku snobizm. Zakopane jest jeszcze ciągle modne! Pani doktorowa w nowym futrze i pan Lolo w nowiutkim rynsztunku narciarskim, którego nie może obnosić po Maszałkowskiej, czy Plantach, odbywają spacery na linii Kasprowy — Krupówki — Gubałówka. Znikły w Tatrach niedźwiedzie, świstaki i kozice, na ich miejsce stadami chodzą bobry, małpy, foki i popielice. Tu wszystko wypada! Więc rozwydrzone wampy i zawodowi don żuani mają żniwa zimą i latem.

W ostatnich dwóch dziesiątkach lat daje się zauważyć, jak młódź narciarska zmienia swój stosunek do tego wspaniałego sportu. Chęć popisów bierze górę nad szukaniem osobistej przyjemności. Zaprawa narciarska przestaje się różnić od treningu na zamkniętym boisku. Młody narciarz szuka jedynie dobrej trasy i nic poza tym go nie obchodzi. Zapytajcie go o wrażenia z pejsażu... Ilu zjeżdżając z Kasprowego do Kuźnic podjeżdża w stronę Czarnego Stawu, by choć przez chwilę poddać się działaniu tatrzańskiej panoramy?

Czas przemyśleć ten odcinek polityki kulturalnej, by nie tracić tego posiewu, jaki w dusze milionów rzuca działanie górskiej panoramy.

Dwa wieki temu poddawał świadomie temu działaniu duszę, wspinający się na Łomnicę St. Staszic, a przed stu laty wyraził to Goszczyński: „Może coś być w was (górach), co ma związek z nadzmysłową istotą człowieka".

Fale snobizmów w różnych odmianach płynące z nizin i z hukiem i pianą rozbijające się u podnóża Tatr, nie pozostają bez wpływu na człowieka miejscowego. Wytworzyły one już niestety typ zawodowego sportowca - lowelasa. Odpowiednik wielkomiejskich niebieskich ptaków - dżentelmenów. Ci ćwierć - górale i ćwierć - inteligenci przez swą „sportową pozycję" nadają ton dorastającej młodzieży zakopiańskiej. Wpływ tego gatunku ludzi zatruwa też młode pokolenie góralskie. Sprawa ratowania przed tym najgorszym rodzajem modernizacji, czy (jak się wydaje często zainteresowanym) awansem społecznym jest sprawą ogromnej wagi! Wraz z tym ostatnim pokoleniem rdzennych górali zginąć bowiem mogą niezasymilowane dotąd przez kulturę polską skarby góralskiego ducha.

Sprawa ratunku góralszczyzny jest obroną prawdziwego Zakopanego.

Aleksander Gella

PRZEGLĄD KATOLICKIEJ PRASY ANGIELSKIEJ

Czołowym angielskim pismem katolickim jest tygodnik Tablet, wychodzący w Londynie od 1840 r.

W sprawach polskich występowało parokrotnie przeciw zachodnim granicom, nie siląc się nigdy na obiektywizm.

ROCZNICA WIELKIEGO PRZEWROTU

W artykule z 22.I. br. Tablet zwraca uwagę na datę wielkiej wagi dla Anglii, a która nie może być obojętną i reszcie świata chrześcijańskiego.

Oto, teraz w styczniu upłynęło 400 lat od dnia, kiedy aktem Parlamentu, pod groźbą surowych kar, Msza św. została w Anglii zabroniona i zastąpiona „czymś odmiennym, co zostało przymusowo narzucone kapłanom i wiernym, czymś co wspierało się na nowych teoriach, pochodzących z kontynentu, twierdzących, że człowiekowi dla zbawienia wystarczy „mieć tylko wiarę" i na działającej poprzez nie teorii angielskiej, iż Anglicy mają według Boskiego prawa słuchać króla, którego Bóg ustanowił, jako Zwierzchnika Kościoła Chrystusowego w Anglii.

Akt t. zw. Jednolitości (Uniformity Act) z r. 1549, nakazujący Anglikom zamienić Mszał, Brewiarz i Pontyfikał na t. zw. Pierwszą Księgę Wspólnej Modlitwy (First Book of Common Prayer), nie był, oczywiście, posunięciem izolowanym. Był jednym z ogniw polityki rozpoczętej, choć w innym zupełnie duchu przez Henryka VIII.

Panuje popularnie pogląd, że przyczyną zerwania Henryka VIII z Kościołem był jego rozwód z Katarzyną Aragońską. W istocie było nieco inaczej i można powiedzieć że rozwód ten i nietrwałe małżeństwo z Anną Boleyn, które po nim nastąpiło, było pokusą, którą król napotkał na drodze polityki uniezależniania się od potęgi Papieskiej. Politykę tę uprawiali przed nim bez powodzenia Henryk II wobec Aleksandra III w XI- w. (ofiarą jej padł św. Tomasz z Centerburry) i Jana Bez Ziemi wobec Inocentego III w w. XIII.

Innym jednak był duch wieku XVI. Henryk VIII znalazł moralne poparcie wśród heretyków, którzy mu pomogli, aby uzyskać własne cele, lecz sam, choć żył i umarł poza Kościołem heretykiem nie był. Znaczeniem obecnej styczniowej rocznicy jest właśnie to, że upamiętnia ona słup graniczny między schizmą, a herezją.

W styczniu 1549 r. upływało 15 lat od uchwalenia aktu „Królewskiej Supremacji Duchownej" (15 styczeń 1534), a 2 lata od śmierci Henryka VIII. Przez ten krótki czas pierwszy odszczepieńczy arcybiskup Canterbury Cranmer i inni dygnitarze kościelni, zarażeni duchem Calvin'a i Zwingli'ego dużo zdążyli zdziałać. Jeszcze za życia króla, Cranmer starał się jak mógł czy to podczas kazań wielkopostnych, czy to przez organizowanie „wolnych dysput" wyrywać wiernym z serca przekonanie, że Bierzmowanie, Pokuta, Ostatnie Olejami św. Namaszczenie, Kapłaństwo i Małżeństwo są istotnie sakramentami, wzbudzić w nich wątpliwość, czy po odkupieniu przez Zbawiciela świata istnieje jeszcze potrzeba Ofiary Ołtarza, czy Komunia ma być przyjmowaną w jednej czy w dwóch postaciach, czy duchowni obowiązani są do celibatu. Jednocześnie starał się wzbudzać w tychże ludziach przekonanie, że odpowiedzi na te pytania potrafią znajdywać sami w Piśmie św.

Jakkolwiek potrafiła ówczesna propaganda wprowadzić zamęt do umysłów nową księgą modlitw, choć w swym potrójnym charakterze przedstawia wielkie analogie z rytuałem luterańskim i jest, bezsprzecznie luterańską z ducha, zachowuje jednak pewne formy kompromisowe. Kompromisu tego strzegł protektor Somerset, stryj małoletniego króla, obawiający się zbyt gwałtownych reform. Forma ta potrafiła wprowadzić w błąd niektórych biskupów pozostałych wiernych intencjom zmarłego króla, a spornych protestantyzmowi. Biskupi ci, za Marii Tudor powrócili na łono Kościoła. Księga z 1549 r. żywot miała krótki, już w r. 1552, po obaleniu Somerseta, wydana została księga druga, przez protestanckich teologów z kontynentu oczyszczona z wszelakich, choćby pozornych pozostałości katolickich.

Dziwnym losu zrządzeniem stało się zadaniem wolnomyślnej Elżbiety, wiernej w gruncie koncepcji ojcowskiej ,narzucić ją po raz drugi narodowi, z pewnymi nieznacznymi poprawkam, gdy Uniformity Act został powtórnie uchwalony, większością trzech głosów, w r. 1559. Gdyż przez te 10 lat protestantyzm zdołał utrwalić się, jeśli nie w ludzie to nakoło tronu.

Księga z czasów Elżbiety przetrwała po dziś dzień — próba jej zmiany na parę lat przed ostatnią wojną wywołała w Anglii wielkie poruszenie i ostatecznie została poniechana.

Z czasem duch angielskiej religii państwowej odszedł daleko od ducha protestantyzmu. Bliższym jest on, zapewne, dzisiaj, po 400-latach, koncepcji Henrykowskiej, niż nim był w ostatnich miesiącach życia tego króla. Ostatnią próbą większej miary skierowania Kościoła Anglikańskiego z powrotem do Rzymu był tak zwany Ruch Oxfordzki, który skończył się przejściem na katolicyzm szeregu wybitnych duchownych anglikańskich, wśród których znajdował się kardynał Newman, (1801 — 1890).

Omawiany artykuł w Tablet, pisany dla Anglików, pomija część podanych tu do rozważenia szczegółów historycznych. Przypominając rocznicę formalnego wygnania katolicyzmu z Anglii dyskretnie przemilcza, jak się jego powroty odbywały, oraz jakie są stałe jego w tym kraju postępy w stosunku do wyznania, które na skutek swej chęci objęcia najrozmaitszych rozbieżnych tendencji — pozostało nieomal pozbawione doktryny i przy każdej sposobności, choćby w sprawie nowego wydania Book of Common Prayer, przejawia niechęć do precyzowania swych wierzeń.

AMERYKAŃSKA KATOLICKA HIERARCHIA KOŚCIELNA

W sprawie postępującej w Stanach Zjednoczonych sekularyzacji życia wypowiedziała się niedawno, bo w drugiej połowie listopada Hierarchia kościelna tego kraju. Enuncjacja ta, jej podłoże faktyczne i związane z nią zagadnienia zajmują naczelne miejsce na łamach „Tablet" w ciągu ostatnich 3 miesięcy.

Bezpośrednim powodem enuncjacji stał się wyrok Sądu Najwyższego (Supreme Court of Justice). Został on wydany na skutek skargi wniesionej w imieniu ludności Stanu Ilionois, w związku z akcją niejakiej Vashti Mac Collum przeciw Radzie Wychowawczej Okręgu Szkolnego nr 71.

W małym miasteczku Champain, tegoż okręgu została za ogólną zgodą zawarta umowa, na mocy której ustalono, że w szkole subsydiowanej przez państwo nauka religii będzie wykładana przez nauczycieli należących do rozmaitych wyznań. Owa Vashti Mac Collum, ateistka, matka 12-stoletniego chłopca, jedynego w tej szkole ucznia nie pobierającego żadnego wykształcenia religijnego, wystąpiła ze skargą, że syn jej został, przez taki układ stosunków, wobec kolegów ośmieszony i zakwestionowała umowę, zarzucając jej, że jest niezgodną z konstytucyjną.

Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych większością 8 głosów przeciw 1, przychylił się do tego punktu widzenia i uznał umowę zawartą w Champain za niezgodną z Konstytucją Stanów Zjednoczonych.

Decyzja ta opiera się na interpretacji Artykułu Pierwszego poprawek do Konstytucji Stanów Zjednoczonych, która opracowana w r. 1787, uchwalona w r. 1788, weszła w życie w r. 1789 i uzupełniona szeregiem poprawek obowiązuje po dziś dzień.

Wyżej wspomniany Artykuł Pierwszy jest jednym z 10, które noszą nazwę Karty Praw (Bill of Rights).

Odnośny ustęp Artykułu Pierwszego brzmi: Kongres nie może stanowić ustaw wprowadzających religię państwową ,albo zabraniających swobodnych praktyk religijnych.

Artykuł Pierwszy ma na celu zapobieganie przekroczeniom władzy Federalnej na niekorzyść władzy lokalnej (Stanów). Orzeczenie z r. 1833 wyraźnie to określa i precyzuje, że sąd ten (Sąd Najwyższy) nie może go zastosować do władzy lokalnej.

W r. 1948 tenże sąd większością 8—1 uznał, że wyraz „Kongres" da się zastosować do rady wychowawczej okręgu szkolnego, a określenie „wprowadzić religię państwową" — do zgody tej instytucji na lekcje religii, rozmaitych wyznań zgodnie z życzeniem rodziców!

Większość sądowa nie była w swej opinii całkiem jednolita, ale różnice były czysto formalne. Sędzia Jackson (znany w Europie jako prokurator w procesie Norymberskim), chociaż głosował z większością, wyraził wątpliwość „czy całkowite usunięcie, jak tego żąda powódka, ze świeckiego wykształcenia tego co można słusznie uważać za naukę religii, jest możliwym, nawet przyjmując, że jest pożądanym".

„Z powodu, który nie wydaje się zrozumiałym, ani z historycznego, ani z logicznego punktu widzenia", (O Sullivan, Tablet nr 5662) Sąd Najwyższy w swej interpretacji powołał się również na Artykuł Czternasty, z r. 1868, który brzmi:

Żaden Stan nie może ustanawiać, lub wprowadzać w życie praw, któreby uszczuplały uprawnienia i swobody obywateli Stanów Zjednoczonych.

Artykuł ten odnosi się, zatem do władz lokalnych.

W swym orzeczeniu większość starała się, tak dowolną interpretację powyższych artykułów, usprawiedliwić zgodnością z duchem działalności Jeffersona i innych współczesnych „Ojców Założycieli".

Autorzy szeregu artykułów w „Tablet" starają się bliżej to określić. Łączyła się w nim żywa tradycja Kościoła Anglikańskiego z wpływami XVIII-stowiecznego oświecenia. Nie ma prawie deklaracji publicznej w którejby się imienia Bożego nie znajdowało, Bogu nie dziękowano, na jego wolę nie powoływano. Jednocześnie istniała wyraźna tendencja, uosabniał ją przede wszystkim Jefefrson, do traktowania religii, jako prywatnego światopoglądu, który żadnych podstaw prawnych nie wymaga, przeciwnie intencją prawodawcy było przestrzeganie, aby jedno wierzenie nie mogło przeszkadzać drugiemu. Istotnie można owym Ojcom Założycielom swobód amerykańskich zarzucić, że pod wpływem „Oświecenia" nie docenili wagi religii chrześcijańskiej, ale, jeżeli miejsce, które dla niej przeznaczyli było za skromne — to jakże skromnym było, jak to słusznie stwierdza „Tablet" (nr 5663) ich pojęcie o celach i zasięgu Państwa!

Artykuły omawiane powyżej poprzedziły ogłoszenie w „Tablet" pełnego tekstu deklaracji.

Zaczyna się ona od wyrażenia przekonania, że ośrodkiem życia ludzkiego jest Bóg i że niestosowanie tej koncepcji jest sekularyzmem.

Wyrażenie sekularyzm, używane przez biskupów w ich enuncjacji ma nieco odmienne znaczenie od określenia laicyzm. Jedno i drugie zawiera w sobie pojęcie świeckości, ale laicyzm ma sens bardziej formalistyczny, oznacza raczej zarządzenia o charakterze prawno - publicznym, podczas gdy słowo sekularyzm bliższe jest koncepcji „vivere in seculo", które oznaczało sposób życia nie koniecznie bezbożny, ale światowy, oddany w pierwszym rzędzie sprawom doczesnym. Jeżeli więc laicyzm oznacza zawsze wkroczenie czynników świeckich na teren, do którego Kościół rości sobie prawa, sekularyzacja życia wydaje się oznaczać przede wszystkim zmniejszanie się w światopoglądzie współczesnym wagi zagadnień duchowych.

Sekularyzmowi przeciwdziałać może tylko czynna postawa wszędzie gdzie się indywidualność stać może czynnikiem decydującym. Aby móc taką postawę osiągnąć chrześcijanin musi uzyskać pełny obraz prawdy chrześcijańskiej. Prawda ta nie jest podzielna, nie można z niej wybierać poszczególnych cząstek. Kiedy chrześcijanin ten pełny obraz już otrzymał, opanowany zostaje pragnieniem dzielenia się nim z innymi. Wielkim chrześcijańskim paradoksem jest, że aby znaleźć, trzeba utracić, aby otrzymać, trzeba obdarować.

Każdy powinien zadawać sobie pytanie:

Co dzisiaj zrobiłem, aby zbudować chrześcijański świat?

Biskupi w swej enuncjacji przyznają, że do postępującej w Stanach Zjednoczonych (szczególnie od 2 lat) sekularyzacji życia, może przyczyniać się fakt, iż ilość wybitnych pedagogów chrześcijan nie jest dostosowana do potrzeb naszych czasów.

Słowa amerykańskiego Episkopatu o stasunkach między Państwem a Kościołem w ogóle, a sprawach szkolnych w szczególności, stosują się do kraju, w którym katolicy są w mniejszości. Broniąc prawa do religii, biskupi automatycznie bronią prawa protestanckiej większości, jak i prawa rodzin obojętnych pod względem religijnym do swobodnego dostępu do zainteresowania się sprawami Bożymi i otrzymywania wiadomości o nich. To nie Hierarchia Katolicka jest zwolennikiem monopolu, przywileju, czy choćby ochrony prawnej. Przeciw nie to ona przeciw takiemu stanowi rzeczy występuje i dopomina się tylko o swobodny rozwój własnych sił.

Jeszcze parę lat temu z początkiem II wojny światowej, mógł pewien pisarz, uchodzący za znawcę spraw amerykańskich twierdzić, że katolicy w Stanach Zjednoczonych pozostają poza nawiasem jednolitych tradycji kraju, bardziej, pod pewnymi względami odeń dalecy, niż amerykańscy murzyni. W Stanach Zjednoczonych, dodawał, dysydenci od protestanckich tradycji katolicy, żydzi i agnostycy, są zrównani w tym, że są oni wszyscy tolerowani.

Obecnie Hierarchia Katolicka została zmuszona wystąpić z wezwaniem do Sądu Najwyższego, aby nie zrywano z tradycjami kraju przez całkiem nową i dla ludności niespodziewaną interpretację jego Konstytucji.

Aby wagę tego elementu ocenić trzeba zdać sobie sprawę z roli, którą w Stanach Zjednoczonych odgrywał Sąd Najwyższy, o którym było powiedziane, że został przez lud wybrany na Stróża Narodowego Sumienia, co nadało mu godność nieomal sakralną.

Frapują nas też pewne cechy postępowania pani Mac Collum, w tej sprawie reprezentującej tendencje sekularyzmu. Pozornie — osoba bojowa. Potrafiła narzucić swoje zdanie, wbrew wszystkim, szkole do której uczęszczał jej synek. Taka postawa, szczególnie u mieszkanki małego miasteczka, wymaga, wydawałoby się, siły przekonania. Ale dlaczego uważała ona, że syna ośmiesza fakt, że jest jedynym wśród swych kolegów bezwyznaniowym, skoro w jej oczach ten pogląd jest słuszny?

Cóż byłaby warta wiara człowieka, któryby się czuł ośmieszony tym, że on jeden, w pewnym gronie w Boga wierzy?

Na tym samym stanowisku stanął Sąd Najwyższy. Uznał, że konfrontacja z poglądem religijnym jest dla bezwyznaniowca krzywdzącą.

K. O. K.

Do P.T. Prenumeratorów i Czytelników

ADMINISTRACJA TYGODNIKA „DZIŚ I JUTRO" APELUJE DO WSZYSTKICH P. T. PRENUMERATORÓW I CZYTELNIKÓW, ABY PODJĘLI TRUD ROZPOWSZECHNIANIA NASZEGO PISMA.

JEŻELI KAŻDY Z NASZYCH PRENUMERATORÓW ZJEDNA NOWYCH PIĘCIU, TYGODNIK NASZ UZYSKA STAŁĄ PODSTAWĘ FINANSOWĄ, JEŻELI ABONAMENT OPŁACANY BĘDZIE PUNKTUALNIE, TA PODSTAWA FINANSOWA OKAŻE SIĘ NAJBARDZIEJ SOLIDNĄ I NIEZAWODNĄ

PRENUMERATORZY, OPŁACAJCIE PUNKTUALNIE PRENUMERATĘ. CZYTELNICY, PRZESTAŃCIE BYĆ WYŁĄCZNIE TYLKO CZYTELNIKAMI, STAŃCIE SIĘ PRENUMERATORAMI.

ADMINISTRACJA „DZIŚ I JUTRO"

TYDZIEŃ KULTURALNY

TYDZIEŃ PRZYJAŹNI POLSKO - CZECHOSŁOWACKIEJ

W dn. od 17 do 14 marca rb. odbędzie się w Polsce i Czechosłowacji Tydzień Przyjaźni Polsko-Czechosłowackiej.

Bogaty program imprez kulturalnych, organizowanych w ramach Tygodnia, przewiduje m. in.:

W Polsce — występy 65-osobowego Chóru Nauczycieli Słowackich oraz 45-osobowego robotniczego słowackiego zespołu valetowego „Syrena", koncerty znanych śpiewaczek Marty Krasowej i J. Zachardowej, koncert muzyki czechosłowackiej pod dyr. Jarosława Kromcholda, występy słynnego skrzypka Aleksandra Plocka.

W Muzeum Narodowym w Warszawie otwarta będzie Wystawa Sztuki Ludowej czeskiej i słowackiej. W związku z wystawą przybędzie znany historyk sztuki, prof. Karel Hotek, który wygłosi szereg odczytów.

W Toruniu w bibliotece uniwersyteckiej otwarta zostanie wystawa książki czechosłowackiej.

W Czechosłowacji — odbędą się występy zespołu Domu Wojska Polskiego w pełnym składzie, przewidywane są występy Ewy Bandrowskiej-Turskiej, która wystąpi w Operze Teatru Narodowego, koncertować będą nadto pianista Henryk Sztompka, bas S. Adamczewski i pianista Z. Szymonowicz.

W Pradze otwarte zostaną: wystawa retrospektywna sztuki polskiej (XIX i XX wiek) oraz wystawa plakatu polskiego.

W dniu 10 marca w Polsce i Czechosłowacji mają być przyznane nagrody za najlepsze przekłady dzieł literackich obu krajów.

WIECZÓR JULIUSZA SŁOWACKIEGO W OSTRAWIE

Staraniem Towarzystwa Przyjaźni Czesko-Polskiej w Ostrawie zorganizowany został wieczór, poświęcony Juliuszowi Słowackiemu.

Interesujący wykład o twórczości Słowackiego wygłosił dr Fr. Kral, prezes Towarzystwa.

Analizy poetyckiej „Balladyny" dokonał we wnikliwym studium Antono Kures, dyrektor Państwowego Teatru w Ostrawie.

Wieczór, który był inauguracją tegorocznych imprez, urządzanych przez Towarzystwo Przyjaźni Czesko-Polskiej w Ostrawie, zgromadził liczne rzesze ostrawskiej publiczności, przyczyniając się do pogłębienia znajomości literatury i poezji polskiej wśród czeskiego społeczeństwa.

PREMIERA „BALLADYNY" W MORAWSKIEJ OSTRAWIE

W Teatrze Państwowym w Morawskiej Ostrawie odbyła się w ub. niedzielę premiera „Balladyny" Słowackiego w przekładzie znakomitego poety Fr. Halasa.

Sztukę reżyserował A. Kursa. Premiera „Balladyny" spotkała się z gorącym przyjęciem publiczności i prasy.

WYNIKI OBRAD NAD ODNOWIENIEM OŁTARZA WITA STWOSZA

Ostatnie zebranie Tow. Miłośników Historii i Zabytków Krakowa poświęcone było omówieniu przebiegu i obecnego stanu prac nad odnowieniem ołtarza Wita Stwosza.

Kierownik Państwowej Pracowni Konserwatorskiej na Wawelu, M. Słonecki, przedstawił dzieje prac konserwatorskich ołtarza w ciągu wieków.

Restauracja obecna, prowadzona od dwóch i pół lat na Wawelu pod patronatem Nacz. Dyrekcji Muzeów i Ochrony Zabytków, jest olbrzymim przedsięwzięciem, opartym na najnowszych metodach konserwatorskich.

Wielkim nakładem pracy zwalczono chrząszczyka drzewożernego wzmocniono spoiwami i utrwalono drewno lipowe, będące materiałem rzeźb ,złożono razem pokruszone delikatne części ozdób architektonicznych.

Najwięcej jednak czasu i uwagi poświęcono przywróceniu arcydzieła Stwosza pierwotnego kolorytu z XV wieku. W tym celu usunięto kilka nieraz warstw grubych olejnych przemalowań, wydobywając często niespodziewane barwy postaci i ornamentów.

Renowacja tego rodzaju wymaga długiego okresu czasu. Prace jednak zbliżają się ku końcowi. 20 kwietnia rozpoczyna się w kościele montaż olbrzymiej szafy ołtarzowej, w której jesienią umieszczone zostaną ostatecznie zabezpieczone już i utrwalone rzeźby.

ZJAZD PLASTYKÓW W NIEBOROWIE

W Nieborowie odbył się dwudniowy zjazd plastyków, teoretyków i historyków sztuki. W zjeździe wzięło udział 40 osób. Tematem obrad były zagadnienia sztuk plastycznych.

OBRAZ PLACU TRŻECH KRZYŻY Z 1877 ROKU W MUZEUM MIEJSKIM

Muzeum m. st. Warszawy zakupiło obraz Podkowińskiego, przedstawiający plac Trzech Krzyży z 1877 roku.

Obraz przedstawia moment przebudowy kościoła św. Aleksandra. Obecnie kościół ten powraca do pierwotnego stanu, zaprojektowanego przez Aignera.

Obraz uwidocznia małe budki ze sklepami kolonialnymi, na miejscu których wznosi się obecnie piękny gmach Ministerstwa Przemysłu i Handlu.

NOWY BALET MAKLAKIEWICZA

Znany kompozytor Jan Maklakiewicz pracuje nad baletem, osnutym na legendzie warszawskiej o „Złotej kaczce". Praca nad „Złotą kaczką" jest już daleko posunięta i w najbliższych tygodniach będzie ukończona.

Premiera baletu odbędzie się w dniu 22 lipca na otwarcie odbudowanego Teatru Narodowego.

Ponadto kompozytor pracuje nad ilustracją muzyczną do nowego filmu polskiego według scenariusza Jarosława Iwaszkiewicza pt. „Dom na pustkowiu".

DRAMAT SZEKSPIRA NA SCENIE POZNAŃSKIEJ

Teatr Nowy w Poznaniu wystawił dramat historyczny Szekspira „Król Ryszard III". Role główne kreują: dyr. Szczerbowski, M. Jaglarzowa, M. Kiernikówna, B. Orszańska, K. Żbikowska i H. Jabłonowska. Reżyserował E. Chaberski. Dekoracje i kostiumy wykonano według projektu St. Jarockiego.

ZGON PROF. DRA WŁADYSŁAWA SEMKOWICZA

W Krakowie zmarł, przeżywszy lat 62, prof. dr Władysław Semkowicz, członek PAU i wielu towarzystw naukowych krajowych i zagranicznych, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Zmarły był wybitnym historykiem, który wielkie zasługi położył w dziedzinie geografii historycznej. M. in. zorganizował on pracę nad atlasem historycznym Polski.

Monumentalna monografia prof. W. Semkowicza o paleografii łacińskiej ukaże się już niestety po jego śmierci.

KONKURS NA NOWELĘ

Poznański tygodnik „Głos Katolicki" ogłosił ostatnio konkurs na nowelę, względnie opowiadanie.

W terminie przepisanym nadesłano do redakcji wspomnianego pisma 81 prac. Sąd konkursowy nagrodził prace, których autorami są: Leszek Prorok z Poznania, Irena Rżewska z Warszawy i ksiądz Henryk Weryński z Krakowa.

Nagrodzone prace będą drukowane w odcinku książkowym „Głosu Katolickiego", który w tych dniach powiększył swoją objętość.

Rok Chopinowski 1949

DNIA 21 lutego w gmachu Rady Państwa odbyło się uroczyste zebranie Komitetu Honorowego Roku Chopinowskiego. Na zebraniu tym Prezydent R. P. Bolesław Bierut wygłosił przemówienie, które zainaugurowało Rok Chopinowski.

W dalszym ciągu zebrania głos zabrał laureat Państwowej Nagrody Muzycznej prof. B. Woytowicz.

W części koncertowej Henryk Sztompka wykonał 5 utworów Chopina.

Dnia 22 lutego, w 139 rocznicę urodzin Fryderyka Chopina odbyła się skromna uroczystość w Żelazowej Woli. W ramach tej uroczystości przemówienie wygłosił minister kultury i sztuki. Na zakończenie uroczystości B. Woytowicz wykonał kilka utworów Mistrza.

Wieczorem tegoż dnia w sali „Roma" odbył się inauguracyjny koncert w ramach którego orkiestra Filharmonii stołecznej pod batutą Z. Latoszewskiego i M. Mierzejewskiego wykonała oba koncerty fortepianowe Chopina. Solistami byli Jan Ekier i Zbigniew Drzewiecki.

Dnia 23 lutego również w sali „Roma" nastąpiło otwarcie cyklu koncertów tworzących tzw. „Żywe wydanie dzieł Fryderyka Chopina".

W koncercie tym wystąpił Henryk Sztompka, który wykonał następujące utwory: Polonez es-moll op. 26 nr 2, Nocturny cis-moll i des-dur op. 27 (nr 1 i 2), Balladę f-moll op. 52, Mazurki b-dur, e-moll, as-dur i a-moll (op. 17), Mazurki c-dur i a-moll op. 67 (nr 3 i 4), Polonez fis-moll op. 44, Walce es-dur (op. 18), as-dur (op. 42) i cis-moll op. 64 nr 2, oraz, na zakończenie, Fantazję f-moll op. 49.

PROGRAM IMPREZ NA TYDZIEŃ OD 2 DO 9.III BR.

2 marca, III audycja z cyklu „Żywe wydanie dzieł Fr. Chopina". Będzie to recital fortepianowy Józefa Śmidowicza. W programie między innymi pierwsze numerowane dzieło Chopina (Rondo c-moll) oraz Scherzo e-dur op. 54.

6 marca IV audycja cyklu „Żywe wydanie dzieł Fr. Chopina". Wykonawcą będzie Paweł Lewicki. W programie m. in. Ballada f-dur i Scherzo cis-moll.

9 marca V audycja cyklu „Żywe wydanie dzieł Fr. Chopina". Wykonawca: Jan Ekier. W programie m. in. Sonata h-moll op. 58.

Wszystkie wymienione wyżej audycje transmitowane będą przez Polskie Radio. Początek recitali o godz. 18.30.

KALENDARZYK HISTORYCZNY Z ŻYCIA FR. CHOPINA

2.III — 9.III

3.III 1830. Warszawa. Wieczór muzyczny u pp. Chopinów przy Krakowskim Przedmieściu 5. Chopin wykonał wówczas swój koncert fortepianowy f-moll i Fantazję na tematy polskie (op. 13).

3.III. 1832. Paryż. W „Revue Musical" ukazała się recenzja doskonałego muzyka belgijskiego Franciszka Fétisa o pierwszym koncercie paryskim Chopina (26.III 1832).

4.III. 1848. Paryż. Po raz ostatni spotkał się Chopin z George Sand.

5.III. 1848. Paryż. Chopin bierze udział w koncercie Walentego Alkana.

7.III. 1847. Paryż. Chopin wystąpił na wieczorze muzycznym u hr. de Courboune.

8.III. 1830. Warszawa. „Kurier Warszawski" zapowiada na dzień 17 marca pierwszy koncert Chopina.

ANTOLOGIA WIERSZY O CHOPINIE

Z inicjatywy Instytutu Fryderyka Chopina Księgarnia Wydawnicza „Ex Libris" w Warszawie przystąpiła do druku antologii wierszy o największym kompozytorze polskim, pt. „Fryderyk Chopin — natchnieniem poetów".

Antologię opracowała Krystyna Kobylańska, członek Komisji Naukowej Instytutu Fryderyka Chopina.

Słowo wstępne Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego.

ROK CHOPINOWSKI W CZECHOSŁOWACJI

W Pradze powołano czechosłowacki komitet obchodu 100 rocznicy zgonu Fryderyka Chopina.

W skład komitetu, nad którym protektorat objął prezydent Republiki — Klement Gottwald, wchodzą najwybitniejsi przedstawiciele życia czechosłowackiego, m. in. ministrowie: prof. dr Nejedly, V. Kopecky, dr V. Clementis, dr A. Gregor, pełnomocnicy rządu dla Słowacji: dr Pavlik i L. Novomosky, ambasador RP, prezydent miasta Pragi dr Vacek, prezes Rady Naukowej i Artystycznej A. Bagar, artyści narodowi J. B. Forster, V. Novak, L. Zeletka i inni.

Listy do Redakcji

Szanowna Redakcjo!

W numerze 6 „Dziś i Jutro" umieszczona została ogromnych rozmiarów rozprawa p. Marka Antoniego Wasilewskiego o naturalnej hierarchii sztuk, w której młodociany (zapewne!) filozof usiłuje dokonać odnowienia starego tematu bezpłodnych rozważań. Idzie mu to nieco kulawo, gdyż ani rusz nie może się zdecydować, według jakiego aspektu należy porządkować te sztuki, według aspektu twórców czy odbiorców. Rozpatrując kino i teatr czyni to w aspekcie twórców (reżysera), zapomina o aktorze. Przy literaturze zaciera mu się różnica między twórcą a odbiorcą. Sztuki plastyczne potraktowane są już tylko w aspekcie odbiorcy („działają przede wszystkim na zmysł wzroku"), podczas gdy w aspekcie twórcy angażują one nie tylko zmysł wzroku, ale równie jak literatura, cały umysł człowieka. A znowuż jeśli chodzi o taniec, to Wasilewski nie uznając definicji Witwickiego, który ustawiając taniec między muzyką a poezją słusznie rozważa rzecz od strony twórcy, posługuje się jakąś nieokreślonością, gdyż pisze że „taniec byłby sztuką dla zmysłu ruchu i równowagi"... Od czyjej strony biorąc panie Wasilewski? Dla widza jest to sztuka plastyczna, gdyż przyswaja ją sobie wzrokiem i wygląd jej zadawala uczucia estetyczne Dla twórcy tańca — będzie taniec czymś pośrednim między muzyką a poezją, jak słusznie twierdzi Witwicki. Więc może chodzi o wykonawcę tańca, o tancerza... No ale tutaj tylko w wypadku baletowej girlsy mówić możemy wyłącznie o „zmyśle ruchu i równowagi"...

Cały artykuł pana Wasilewskiego jest nierozsądny. No ale ostatecznie każdemu wolno pisać, tylko dlaczego redakcja zaraz musi drukować?! Czy naprawdę w tej chwili w Polsce nie ma bardziej życiowych i konkretnych tematów obchodzących panów z „Dziś i Jutro", jak zupełnie abstrakcyjne rozważania nadające się do „Przeglądu Filozoficznego", ale nie do żywego pisma.

Konstanty Barnaba (Kłaj)

OFIARY

J. E. — zł 1.060 na Zakład Leczniczo-Wychowawczy dla dzieci - kalek w Świebodzinie.

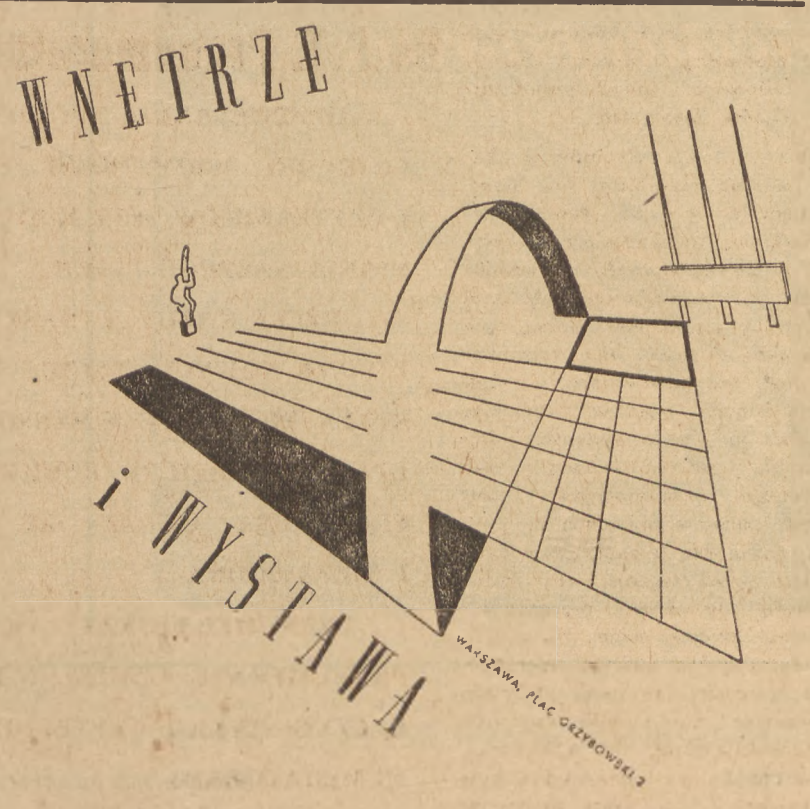

Czytajcie „Słowo Powszechne"!

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

OBRONA ZAŚCIANKA

W numerze 5 (167) „Dziś i Jutro" pan Jasienica ogłosił artykuł pt. „Zmora Zaścianka". Ten makabryczny tytuł świetnie oddaje treść artykułu. Autor drży przed zaściankiem, to jest parafiańszczyzną, prowincjonalnym sposobem myślenia, ciasnotą Polaków, ograniczeniem, brakiem szerszych horyzontów. Objawy te, w mniemaniu p. Jasienicy, są u nas powszechne. Przykład Conrada, „jednego z pierwszych prozatorów świata", „który naprawdę zaważył na dziejach kultury światowej", a „dla którego nie było miejsca w ojczyźnie", który porzucił zaścianek i wypłynął na szerokie oceany kosmopolityzmu, ma ilustrować ideał p. Jasienicy. Tak właśnie powinni postępować Polacy. Potrzeba „jednej rzeczy — likwidacji zmory zaścianka".

Zacznę od tego, od czego zaczął p. Jasienica Od Conrada. Zbyt długo byłem pod jego urokiem, żeby sobie o nim nie wyrobić sądu.

Kim jest Conrad naprawdę? Możemy to poznać z jego „Złotej Strzały", która podobno się ukazała. Czytałem ją po angielsku, bo nie chcę sobie psuć smaku kiepskimi przekładami A Conrada warto czytać właśnie dla jego bogatej, zdumiewającej nawet Brytyjczyków, angielszczyzny. Otóż „Złota Strzała" pisuje pierwszą przygodę Conrada. Jest to jedna z ostatnich i najgorszych jego powieści. Stary, nad grobem stojący awanturnik, rozpłomienia się na wspomnienie dziejów rozpusty z pewną ladacznicą z Marsylii, dla której daje się ciężko postrzelić innemu łobuzowi, a która go rannego porzuca. Z tego robi się bohaterska opowieść! Z ladacznicy robi anioła uroku, a z siebie jej nieustraszonego rycerza. Nie brak w tej ramocie i niewykwintnych dowcipów pod adresem katolików o których miał mniejsze pojęcie niż o Himalajach. Dowcipy takie często słyszymy od rozpustników.

Kimże więc jest Conrad? Po pierwsze emigrantem A każdy, kto opuszcza swój kraj, podlega nieuchronnie wynaturzeniu, spaczeniu duchowemu, które obserwujemy u wszystkich emigrantów, zarówno u Mickiewicza, jak i Conrada tylko u tego w stopniu znacznie cięższym, bo unikał on Polaków jak zapowietrzonych Nie stał się Anglikiem, a nie mógł pozostać Polakiem.

Po drugie jest on awanturnikiem Opuszcza kraj i dobrego wuja, żeby szukać przygód i to widać dokładnie w „Złotej Strzale", która jest zdarzeniem prawdziwym. W „Zwierciadle morza" wykazuje on pewną szlachetną skłonność Nie znosi parowców Nade wszystko lubi małe żaglowce, na których można się zapuścić głęboko w ląd krajowców, a tam nie trudno o przygodę, czy materiał do egzotycznych opisów. Gdy parowce wypierają żaglowce. Conrad nie chce dłużej pływać, a zaczyna pisać Początkowo są to wspaniałe rzeczy Krótkie opowiadania w rodzaju „Młodości", „Tajfunu", „Jądra Ciemności", które zawiera najszczerszą prawdę, wyrażoną przez Chestertona w sonecie „Africa":

„There is no place of living
men to be"
(Nie ma tu miejsca dla żyjących ludzi).

Gdy jednak oszczędności Conrada przepadają wskutek plajty banczku, w którym leżały, zaczyna on pisać masowo na zarobek, wyzyskując zdobytą już popularność. Duże jego powieści są dlatego dużo słabsze.

Kim jeszcze jest Conrad? Urzędniczkiem, agentem zamorskiego handlu brytyjskiego. Ranga kapitana żaglowej łódki wydawała mu się zaszczytniejsza od każdej godności w kraju! Śmieszna anglomania. Z jaką zaciekłością będzie on wyjaśniał, że „gdyby nie pisał po angielsku, nie pisałby wcale"! Nic dziwnego. Jak się wyrzeknie swojego, musi się znaleźć cudzy zaścianek. Nie można się obejść bez niego Nie godzę się z przypuszczeniem, że w polskich pismach nie chcianoby drukować jego opowiadań Obcość tematyki była wtedy bardzo pożądana. Egzotyka miała zawsze swoje uroki. Ale Conrad nie chciał. To by mu ubliżało. On, kapitan angielskiego statku! Dżentelmen angielski!

Tak więc Conrad nie jest ani tak wpływową potęgą w kulturze świata, ani też ideałem wychowawczym. Jakby to wyglądało, gdyby nasza młodzież porzucała kraj, szukała awantur w obcej zaborczej służbie i jeszcze była z tego dumna? Z wyrzeczenia się własnego narodu i kultury? Moim zdaniem należałoby raczej powrócić do zaścianka, do domu, do ludu, do Polski. Odwrotna wada naszych przodujących warstw jest znacznie większym niebezpieczeństwem. Już Słowacki w „Grobie Agamemnona" wyrzuca ojczyźnie: „Pawiem narodów byłaś i papugą", co i Mickiewicz potwierdza: „A co Francuz wymyśli, to Polak powtórzy".

Te zdania wydają mi się prawdziwsze, niż mniemanie p. Jasienicy Szlachta ubierała się w tureckie stroje, jeździła na tureckich koniach mówiła po łacinie, ale przynajmniej jeszcze czuła po polsku, bo siedziała na ziemi, obok ludu. Ale w osiemnastym wieku zanika zupełnie umiłowanie swojskości, a zjawia się pogarda dla tego, co własne. Jest ona tak wielka, że magnaci sprzedają się obcym agenturom bez najmniejszego wstydu. Aż ich muszą mieszczanie wieszać. To właśnie zgubiło Polskę.

Zaścianek jest źródłem największej poezji. „Iliada" Homera to epopea zaścianka, Troi, napadniętej o — kobietę przez zaścianki greckie. „Odyssea", jeszcze piękniejsza, to tęsknota za dawno niewidzianym zaściankiem — Itaką. „Pan Tadeusz", to epopea zaścianka Zaścianek to samorodność, a więc oryginalność, odrębność bogactwo, a nade wszystko — swoistość. Własny dom! Zaścianek to szkoła pracy, cnoty i siły Ośrodek produkcji. Wszystko, co w świecie się wybiła, pochodzi z zaścianka Chopin, Sobieski, który jako zaściankowy szlachcic uczy się u muszkieterów Ludwika XIV ich sztuki a w Konstantynopolu poznaje słabość Turków, dla obrony swego domu Każdy wybitniejszy człowiek w domu się przygotowywał do roli w świecie, od którego zresztą też korzysta. Ale wpływ domu jest najcenniejszy.

W zaścianku bowiem rodzi się i panuje miłość, nie ta, która pożąda i brudzi, ale ta, która ożywia i służy. Wyraża się ona częściej klapsem i szturchańcem, niż pocałunkiem, bo jest samym zdrowiem. Mało zwraca się uwagi na znaczenie wychowawcze tej miłości w domu i zaścianku. Pozbawiona całkowicie afektacji i czułostkowości, które są w miłości tym, czym sofizmat w logice, jest ona dla wychowanków jedynym oparciem i siłą moralną. Wystarczy spojrzeć na sierotę i dziecko przy rodzicach, chłopa w swojej wsi i zabłąkanego do wielkiego miasta, żeby zrozumieć o czym mówię. Ta miłość daje poczucie pewności, śmiałości, bezpieczeństwo i chęć do pracy oraz zabawy. Z niej rodzi się twórczość kulturalna. Wystarczy wziąć pod uwagę pierwszego lepszego malarza, poetę, muzyka, żeby mi przyznać rację. Jakżo florenckie jest piekło Dantego, a jak angielska Utopia Tomasza Morusa.

P. Jasienica może się bronić twierdzeniem, żem go nie zrozumiał, że on temu wszystkiemu nie przeczył. Zwalczał on tylko zaściankowy sposób myślenia, a więc ciasnotę, zacofanie, mniemanie, że Polska „jest pępkiem świata". „Niektóre sprawy nam drogie i bliskie — pisze — nikogo na szerokim świecie nie obchodzą". „Świat" i to „szeroki", jest dla p. Jasienicy ostatecznie ważny. Wzywa on do uznania „naszej małości wobec problemów, uznawanych na świecie za ważne i istotne". Obok niewątpliwej słuszności tych twierdzeń są one tak ogólnikowe i nieokreślone, że mogą być źle zrozumiane. Być może i ja padłem ofiarą tej zwodniczości ogólników. Stąd moja próba zestawienia ich z konkretami Mniemanie, że Polska jest pępkiem świata, jest może fałszywe obiektywnie, ale jest ciągle subiektywnie. Dla Anglików ich kraj, dla Rosjan ich, a dla Polaków Polska musi być pierwsza, bo najbliższa Każdy człowiek ma prawo, ba obowiązek być dumnym ze swego zaścianka. Jeśli nasze sprawy są mało ważne dla „świata", to czy będą one ważniejsze dla niego, jeśli i my nimi wzgardzimy? Przeciwnie, tym bardziej powinniśmy przy nich obstawać, bo są one **nasze**. Jakież to sprawy są ważne dla tak zwanego „szerokiego świata"? Bardzo szeroko pisał o tym Świętochowski w swej „Genealogii teraźniejszości" I bardzo słusznie. Mimo wielu win, Polska nie chciała brać udziału w polityce kłamstwa i rozboju, jaką zaczęła praktykować Europa od mniej więcej siedemnastego wieku. Takie sprawy są „ważne" i dziś na „kulturalnym" Zachodzie. Nic dziwnego, że Polska padała ofiarą, nie chcąc być ofiarnikiem Ale to, że o nią się biło tyle państw w ciągu blisko dwustu lat, mogło Polaków wbić w dumę. Nawet jako „wolne" państwo byliśmy w niewoli obcego kapitału. Ważne były dla niego nasz węgiel, nafta, kopalny w ogóle. Całe szczęście, że obecna nasza polityka jest zaściankowa.

„Ciasnota" i „parafiańszczyzna" wymagają też konkretnego omówienia. Wydaje mi się, że jest zupełnie dobrze, jeśli chłop z Kaczego Dołu np. zna uprawę ziemniaków, choćby nie miał pojęcia o uprawie bawełny. Jest on ciasny pod tym względem, ale gorzej byłoby, gdyby znał uprawę bawełny, a nie znał i nie dbał o żyto. I ogromna większość narodu powinna znać najpierw swoje potrzeby, wartości, a potem dopiero obce. Tylko niewielu pójdzie za granicę. Będą to uciekinierzy, wypędki, zaprzańcy, czasem szlachetni patrioci, którzy szukają nauki dla poprawienia spraw własnego zaścianka, jak wspomniany Sobieski, a wszyscy są ogromnie nieszczęśliwi, dopóki są poza krajem. Parafia ma pierwszeństwo, ciasnota ma uzasadnienie. O ileż gorzej jest, gdy nasz młodzieniec zna Żolę, a nie zna Prusa.

Można by na te tematy pisać jeszcze długo. Myślę jednak, że dostatecznie wyraziłem swoje wątpliwości co do artykułu p. Jasienicy. Dodam tylko własne wyjaśnienie, dlaczego nasze książki nie nadają się dla obcych. Oto nie są zaściankowe, to znaczy oryginalne. U nas ten pisarz uchodzi za większego, który lepiej sprzedaje z obcych. Pisarza samodzielnego, oryginalnego ludzie się boją, redaktorzy nie drukują, koledzy zwalczają. Publicysta ten lepszy, który lepiej powtarza za zagranicznymi. Natomiast pisarze rosyjscy, angielscy są samodzielni, krytyczni wobec obcych i dlatego mogą do czegoś dojść, bo się opierają na własnych wartościach. Należy co rychlej wrócić do zaścianka.

Z. Jakimiak

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

„Nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni"!

Przypominają się powyższe słowa Chrystusa, kiedy się czyta w tyg. „Dziś i Jutro" z 10 października ub. r. artykuł Wojciecha Kętrzyńskiego pt. „Prawdziwe oblicze neoromantyzmu". Pomieszane są tam w jednym tyglu dwie sprawy: mesjanizm i romantyzm.

Ten ostatni — dzieło Wieszczów — ma w sobie istotnie coś usypiającego, zwłaszcza pod wpływem towianizmu wmawia on w czytelników, że Polska jest Chrystusem narodów, że sam zapał stwarza cudy itp. Ale romantyzm ma też pozytywne wartości dla dzisiejszej rzeczywistości, jak świadczy choćby zainteresowanie się twórczością Mickiewicza w dzisiejszej Polsce, gdzie staramy się rozpowszechnić dzieła tego wielkiego patrioty. W. K. jednak nie umiał odróżnić plewy towianizmu od zdrowego ziarna prawdy, która zawsze i dla każdego ma swoją wartość — i cały romantyzm potępił.

Jeszcze gorzej wypadła ocena mesjanizmu we wspomnianym artykule. Autor starannie omija fakt, że właśnie chrześcijaństwo nazywa Zbawiciela naszego Mesjaszem, więc Jego boska nauka o konieczności odrodzenia duchowego do zbawienia wiecznego przez życie ofiarne i pracę na pożytek bliźnich jest mesjanizmem Ale tego nie chce zrozumieć W. K. i pomawia Hoene-Wrońskiego, że on sam uważał się za mesjasza, podczas gdy Wroński uważał za swoje posłannictwo przypomnienie światu boskiej nauki Mesjasza i dlatego swoją filozofię nazwał mesjanizmem, co można każdej chwili sprawdzić w dziełach Wrońskiego. Jak nazwać takie przemilczanie przez W. K. z jednej strony, a z drugiej przekręcanie faktów? Lepiej tego nie nazywajmy, niech je sobie autor sam nazwie

A oto drugi chwyt mistrzowski. Autor tak się wyraża: „Pozostaje problem oceny twórczości. Trudno jej odmówić pewnych trwałych wartości, tym bardziej, że umysł Hoene-Wrońskiego był niewątpliwie niezwykły. Wroński, człowiek zdolny, niebywale pracowity i wytrwały, pozostawił po sobie ogromną spuściznę, dotyczącą niemal wszelkich dziedzin wiedzy. W zakresie filozofii ścisłej, matematyki, logiki symbolicznej, a nawet astronomii i fizyki — doszedł do wyników ponoć wartościowych. Dziedziny te są zbyt oddalone od moich zainteresowań, by mi było wolno o nich sąd wydawać".

A jednak wydał Pan ten sąd! Właśnie w tych dziełach jest wyraźne i jasne określenie mesjanizmu. Gdyby Pan przeczytał je uważnie a bez uprzedzenia, na pewno nie napisałby Pan wspomnianego artykułu. Wyjaśniłoby się wtedy, że tak samo „prace historiozoficzne, metafizyczne, polityczne i ekonomiczne Hoene-Wrońskiego — nie są abstrakcją i, jak Pan sądzi „mylną i podejrzaną filozofią", lecz one właśnie przynoszą egoizmem skołatanemu światu rozwiązanie sprzeczności i pokój ludziom dobrej woli, gdyż są zgodne z katolicyzmem i są jego praktycznym zastosowaniem w życiu społecznym, politycznym i ekonomicznym, są realizacją tego, co papieże piszą w encyklikach.

Cisną się pod pióra soczyste wyrazy na określenie Pańskiego stanowiska rzekomo katolickiego, ale nie użyję ich. Uważam bowiem Pana za człowieka dobrej woli, a pomyłka każdemu może się przytrafić.

Z poważaniem

Jan Gołąb
nauczyciel Szkoły Powsz. nr 3
w Hrubieszowie, ul. Żeromskiego 29

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

Kilka dni temu przeczytałam rozreklamowaną szeroko książkę Wł. Jana Grabskiego pt. „Konfesjonał". Książka zrobiła na mnie wielkie wrażenie, pozostawiła jednak i sporo wątpliwości, jedną zwłaszcza szczególnie poważną. Dzielę się więc z Szanowną Redakcją mymi spostrzeżeniami w nadziei, że ktoś mi te wątpliwości wyjaśni. Ostatnie karty „Konfesjonału" zawierają opis spowiedzi młodego Niemca imieniem Karel, jego śmierci. Otóż chodzi właśnie o tę śmierć. Jak wynika z tekstu Karel umarł bowiem ks. Sadok modlił się o to. Czy można jednak modlić się o śmierć bliźniego nie popełniając grzechu i czy Bóg takich próśb wysłuchuje. Przecież właśnie cierpienie umacnia wiarę i hartuje ducha — jest ogniową próbą dla katolika, a tu ks. Sadok modli się o śmierć dla człowieka wiedząc, że cierpienie go załamie, skłoni do samobójstwa. A więc chęć ocalenia człowieka w gruncie rzeczy małej wiary i tchórzliwego. Czy Grabski nie uległ tu częstemu u literatów zamiłowaniu do pięknej fikcji. Tym bardziej, że w życiu nie zdarzyło mi się słyszeć o podobnym „cudzie" jak opisany w zakończeniu „Konfesjonału". Pisze się tylko o wspaniałych postawach męczenników jak o. Kolbe, a jednocześnie przechodzi nie zauważony fragment powieści katolickiego pisarza, gdzie ksiądz chroni człowieka przed męczeństwem, albo jeśli rozumie inaczej, nie ma dość sił, by go uchronić przed samobójstwem a przygotować do męczeństwa. Czemuż więc nie modlił się o moc wytrwania dla Karela?

Wszystko to wydaje mi się bardzo niepewne pod względem Prawdy katolicyzmu. Może ktoś z pp. publicystów katolickich, a najlepiej któryś z księży podjąłby ten temat?

Zofia P.
Brwinów k. Warszawy

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński Andrzej Micewski.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel 886 71 Konto PKO Nr I 727

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz wtorków i sobót, godz 12.30 — 13.30

Druk. Skolimowska 6.

Wydawca Kolegium Redakcyjne

Prenumerata miesięczna 30 złotych. Kwartalna 180 złotych

B-72011